№ 38 Warszawa, dnia 11 (23) Września 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . rs. 1 k. 25.
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

SZKICE EGIPSKIE.

Z OPISU MALARZA LEPIC.

Streszczone przez

Sewerynę Duchińską.

Miasto Kair. — Pałac Paszy. — Harem. — Strażnicy honoru. — Kobiety z ludu Fellah. — Stróże porządku. — Psy i krogulce. — Shonbrah: miejsce przechadzki pod cieniem sykomorów. — Saisy. — Muzeum Boulacq. — Mumie Faraonów. — Osły. — Nowoczesne zwaliska. — Szakale, kruki i chmary gołębi. — Wspomnienia o Francuzach w Egipcie. — Stary Arab i Kebir. — Napisy. — Pustynia na płaszczyźnie i w górach. — Fauna egipska. — Wielbłądy, woły i bawoły. — Wodne ptactwo: orły i sępy. — Lwy, nosorożce i hippopotamy. — Krokodyle. — Nekropolia zabalsamowanych krokodylów.

(Dalszy ciąg.)

Najcenniejszą ze wszystkich ozdób Kairu, prawdziwą jego chlubą, jest słynne muzeum Boulacq. Tu zmarły przed dwoma laty wielki egiptolog francuzki Mariette-Bey, nagromadził bezcenne zabytki, które on sam, wsparty przez kedyfa Izmaela, wygrzebał z pod wiekowych nasypów. W Boulacq rzecz można, odżył starożytny Egipt; tu rozwija przed okiem uczonych pomniki swej odwiecznej cywilizacyi.

Aby opisać najpobieżniej malowidła, rzeźby, tablice, zniesione tu z cmentarzyska Apisów, z odkopanego pałacu Ramzesa, te niezliczone papyrusy, te mumie Faraonów, wydobyte z łona piramid, gdzie przespały wieków czterdzieści, potrzeba na to zapisać foliały; praca ta zresztą dokonaną została w wielkiej części przez niezmordowanego Marjetta. Podróżnik nasz pozostawia na boku te archeologiczne skarby, wspomina tylko z humorystyczną werwą, parę przygód, odnoszących się do prowadzonych dziś poszukiwań.

Marjette Bey znalazł godnego siebie następcę w innym francuzkim egiptologu Mospero, dzisiejszym konserwatorze słynnego muzeum. Podczas ostatnich poszukiwań na równinie Saqguarah odkrył on w pyramidzie mumią króla Merenra, jednego z najpotężniejszych Faraonów. Trup wyrzucony z sarkofagu, rozpowity z bandaży, niewiadomo kiedy i przez kogo, leżał na ziemi wyschły jak wiór. Imię wielkiego Faraona, miało uświetnić zbiory; wypadało przenieść ten szczątek do Boulacq. Pomieszczono zatem mumią na ośle i tak dostawiono do stacyi drogi żelaznej. Ale w Egipcie taryfa opłaty zmienia się stosownie do przedmiotu. Urzędnicy z muzeum oddają Faraona na wagę i tu zachodzą trudności. Taryfa nie wspomina nic o mumiach. Poborca nie słyszał nawet o nich. Próżno przerzuca księgę, nigdzie najmniejszej wzmianki, nikt dotąd nie przewoził podobnego towaru.

— Ale na cóż to służy? z czego to zrobione? pyta zniecierpliwiony kasyer.

— To człowiek, odpowiadają strażnicy.

— A więc skoro to człowiek, kupcie mu bilet na miejsce do wagonu. I odwraca się z gniewem, że szydzą z niego.

Strażnicy kupują bilet do pierwszej klasy, sadzają Faraona, sami siadają przy nim; parowóz niesie ich do Kairu. Tam mieszczą go w karecie, obwijają makatą. Ale otóż i most na rzece, powóz staje... nowa taryfa, nowe śledztwo.

— Co wieziecie panowie? pyta poborca.

— Mumią.

— Co to jest, ja tego nie znam!

Próżno dozorcy tłomaczą że to ważny przedmiot dla muzeum. Poborca woła o zapłatę. Ile się należy? On sam nie wie; otwiera księgę... szuka.

Szczęściem jeden ze strażników przypomniał sobie że z wyższego Egiptu przychodzą ryby suszone na słońcu, podobne z pozoru do mumii.

— Jakto, nie poznaliście, że to ryba! — zawoła na poborcę.

Ten poprzestał na wyjaśnieniu, zważył Faraona oznaczył cło i zgarnął pieniądze.

Biedny Faraon, po czterdziestu wiekach, powrócił do stolicy, uchodząc za suchą rybę, przed potomkami tych, którzy padali przed nim na twarz.

Wkrótce potem sprowadzono do muzeum mumią innego Faraona, wieczorem złożono ją w wielkiej sali. Nazajutrz o świcie, Muspero słyszy okropny krzyk, przerażeni strażnicy kołaczą na gwałt we drzwi jego pokoju.

— Co się stało? — pyta zdziwiony.

— Mumia poruszyła się, wyciągnęła rękę do góry — wołają wybladli, drżący ze strachu.

Muspero zrywa się z łóżka, biegnie co tchu do sali, widzi w rzeczy samej Faraona z ręką podniesioną, jakby przeklinał świętokradców, którzy poruszyli go z grobu!

Przyczyna tego prosta, słońce uderzyło przez szyby na ramię, co spowodowało fenomen.

Niedawno jeszcze pojazdy w Kairze były wielką osobliwością, wszyscy jeździli po ulicach konną albo na ośle.

Odkąd jednakże epidemia zniszczyła w Egipcie wszystkie niemal stadniny, cały ciężar spadł na biednego osła. Praca to nielada, sami bowiem europejczycy chodzą pieszo po ulicach Kairu, wszyscy tymczasem tubylcy, zacząwszy od wysokich dostojników i oficerów w mundurach, aż do ubogich mieszczan, używają osła do wierzchniej jazdy. Za poganiaczy służą drobne pacholęta, zawsze wesołe, gotowe do psot i do śmiechu.

Egipski osieł przedstawia się piękniej od naszego. Na placach Kairu stoją całe ich gromady: każdy wyczesany starannie, ma sierć połyskującą jak źwierciadło; głowę zgrabnie podnosi w górę, szyję obraca z wdziękiem. Na łopatkach i udach szary włos jego wystrzyżony w fantastyczne wzory. Siodło na nim wysokie, wybite haftowanym suknem, uprząż w żywych kolorach. Gdy poczuje na grzbiecie jeźdzca, porusza się kłusem, lub galopem. Nogi ma pewne, nigdy się nie potyka.

Zwierz ten niekiedy do wysokiej dochodzi ceny. Piękny osieł kosztuje 2,500 do 3,000 franków, takich używają tylko pod wierzch bogaci panowie arabscy. Ale i prosty osieł Fellaha dobrze karmiony, wygląda bardzo przyzwoicie. Nie zaprzęgają go nigdy do wozu, lecz ładują nań ogromne ciężary. Zdarza się często widzieć dwóch arabów na jednem bydlęciu.

Ścisła przyjaźń łączy osła z małym poganiaczem. Po każdym kursie, chłopiec rozkulbacza go, pieści, ociera z potu, całuje, poi wodą, dzieli z nim kawałek własnego chleba. Nieraz obaj tarzają się po ziemi, czasami śpią przytuleni do siebie.

Kilka lat temu, podczas wielkich prac nad kanałem Suezkim, ulicznicy w Kairze, pokazując przechodniom osła swego, wołali wesoło:

— Siadaj pan, na tym ośle jeździł pan Leseps!

Rzekłby kto, że wszystkie osły w mieście dostąpiły tego zaszczytu!

Izmael pasza, przeszły Kedif, wychowany za młodu w paryzkich szkołach, rozmiłowany w europejskiej cywilizacyi, pragnął przenieść ją żywcem na brzegi Nilu, bez względu, że każde społeczeństwo ma wytkniętą właściwą sobie drogę. od której zboczenie prowadzi na bezdroża. Egipt bez wątp enia wiele zawdzięcza temu władzcy; on to wsparł dzielnie Lesepsa w przekopaniu kanału Suezkiego, on ułatwiał Mariettowi archeologiczne prace, a na pomieszczenie cennych zbiorów, wybudował muzeum w Boulacq. W wielu jednak reformach zarzucają kedyfowi zbytni pośpiech i nieoględność.

To też, jeśli z jednej strony, pomógł do wydobycia z ziemi tylu gruzów, wymownych świadectw odwiecznej cywilizacyi, z drugiej tymczasem, zasiał kraj nowemi ruinami. Lepic kreśli żywy obraz tych zwalisk, ciągnących się w blizkości Kairu, po nad Nilem.

„Kedyf Izmael, mówi on, założył mnóstwo rafineryi sprowadzonych z niesłychanym kosztem z Europy. Dziś pięć zaledwie wyrabia jeszcze cukier, reszta upadła, jużto dla braku trzciny cukrowej, już z powodu, że machiny niedokładnie wykonane, przestały iść po kilkomiesięcznej próbie.

„Fabryki te całkiem dziś opuszczone, stoją pustkami nad rzeką. Kto potrzebuje mosiądzu albo miedzi, idzie tam jak do własnego składu. W kadziach szakale usłały sobie legowiska; sępy, kruki i sowy lęgną się pod dachem, tysiące gołębi zamieszkało wśród ogromnych kominów.

„Kiedy wchodzimy do jednej z tych pustych fabryk, spłoszone chmary ptactwa zrywają się z przeraźliwym krzykiem i piskiem. Szakale wybiegają z dziur, tłuką szyby, uciekają przez okna. Huk strzelby rozlega się jak grzmot, po wysokich i pustych sklepieniach. Ten rodzaj polowania znany może w samym tylko Egipcie."

Z uczuciem dumy narodowej wspomina Lepic ślady wyciśnięte stopą francuzką na całej przestrzeni Egiptu. Imię *Fransuoni* (Francuz) bardzo sympatycznie wyryło się w pamięci tubylców. Na całym wybrzeżu libijskiem armia napoleońska zostawiła niezliczone ślady swego przejścia.

W każdej większej wsi, mówi autor, znalazłem napis wyryty we francuzkim albo w arabskim języku, czyto ręką oficerów, czy uczonych, czy też inżynierów naszych. Co chwila zapisana jakaś data lub cyfra, jakieś imię, dzień bitwy i t. p.

Arabowie szanują te pamiątki, pokazują je podróżnikom francuzkim, powtarzając raz po raz *Kebir*. Pod tem imieniem znają Bonapartego. Dla nich Napoleon, to tylko dwudziestofrankowa sztuka złota, nic więcej. *Kebir* tymczasem, to pan, który nimi władał, nie obarczał ich podatkami, „pan dobry i sprawiedliwy". Kleber i Desaix utonęli w tej legendycznej postaci. Czasy panowania Francuzów zostały tu żywą tradycyą.

Kilka lat temu, żył jeszcze stary beduin mieszkał na pustym Giseh, pod cieniem Sfinksa. Lata jego były zagadką, on sam nie umiał ich obliczyć. „Stary był jak pustynia", mówili Arabi. Młodzieńcem, od stóp piramid, przypatrywał się bitwie. Opowiadał jak żołnierze przyciągnęli tu od pustyni, jak wystąpili mameluki, jak utworzono karabatalıony w oka mgnieniu, jak potem konnica uderzyła czterykroć na piechotę, jak strasznie grzmiała kanonada, jak Araby zbiegli na pustynię a Francuzi śpiewając pomknęli w cwał za nimi. On biedak półmartwy ze strachu, pozostał tam gdzie był, aż go wreszcie spostrzegli Francuzi i stawili przed Bonapartem.

Kebir podał mu rękę, wsunął mu kilka sztuk pieniędzy; zatrzymał go przy sobie trzy miesiące, a potem pozwolił mu wrócić do swoich. Gdy Francuzi opuścili Egipt, Arab przybył znowu do Giseh, tu zamieszkał odtąd, a gdy postarzał, nazwał się sam strażnikiem Sfinksa. Chętnie opowiadał cudzoziemcom swoje przygody, pokazywał mi rękę, którą niegdyś uścisnął *Kebir*.

Napis najchlubniejszy dla Francuzów, pozostał na wyspie *Phile*, skreślony w świątyni w tych słowach.

„Roku 6-go Rzeczypospolitej, 13 messidora, armia francuzka pod dowództwem Bonapartego, wylądowała w Aleksandryi, armia 20 dni parła Mameluków uciekających do Pyramid. Desaix, dowodzący pierwszą dywizyą, pędził ich za katarakty. Napis położony 13 vantoza roku 7-go rzeczypospolitej (3 marca 1799)."

Ręka obca wyryła poniżej te wyrazy:

„Kędyż była ta armia w roku 1813?"

Inne uwagi, niemniej wrogie Francuzom, ugrupowały się do koła. Oburzony tem patryota francuzki, kazał wyryć wielkiemi literami, po nad marmurową tablicą:

„Karta dziejów nie powinna być plugawiona!"

(D. c. n.)

Wiosenna piosenka.

Z dalekiej, dalekiej, zamorskiej podróży...
Witamy cię skowronku maleńki!
Witamy cię radośnie, jak słońce po burzy,
Jak promień wschodzącej jutrzenki.

Ty niesiesz nam szczęście i nowy zdrój wiary,
Że dola na lepszą się zmieni...
Gdy dzisiaj tak smutne, rozległe obszary,
Ubiorą się w szatę zieleni!

Czyż Stwórca, naturę z tej ciszy mogilnej,
Wskrzeszając do życia i ruchu,
Zapomni o ludziach — co w walce bezsilnej,
Padają osłabli na duchu?

O! niechaj nam tylko urocza, wesoła
Wiosenka, zaświeci nadzieją...
Schylone ku ziemi podniosą się czoła,
I usta zbolałe zaśmieją!

I może niejedno westchnienie gorące,
Dziękczynnie uleci ku niebu,
Gdy znikną te chmury, nad głową ciążące.
Jak czarna chorągiew pogrzebu...

Lotos.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Stefan bywał w Młynach ciągle, z całego przecież jego postępowania widać było, że jak mówił: „usunął się” zupełnie. Przyjeżdżał teraz znacznie rzadziej, a przyjechawszy bywał jeszcze poważniejszy niż dawniej i prawie głównie dotrzymywał towarzystwa mnie i Jenerałowej. Do Kseni, aczkolwiek zawsze równie był dla niej uprzejmy i przyjacielki, zbliżał się bardzo mało i z większym prawie szacunkiem jak dawniej. Widocznie uważał ją jako kobietę moralnie należącą już do innego i odstępował ją temu drugiemu ze szlachetnym, prawdziwie męzkim spokojem i taktem. Owe długie, rozumne rozmowy, które dawniej godzinami całemi nasz młody sąsiad prowadził z paniami, skończyły się niepowrotnie: teraz na spacerach i przejażdżkach, choć towarzyszył nam zawsze, rzadko kiedy mieszał się do rozmowy ogólnej, której berło zawsze i niepodzielnie pozostawało teraz w rękach Skrzyńskiego.

Raz tylko pamiętam, że wmieszał się do rozmowy Kseni z Eugeniuszem i wystąpił wprost przeciw zdaniu malarza.

Było to jednego pięknego wieczora lipcowego, kiedy powracaliśmy od koszących zboże po raz pierwszy w tym roku na polach Olszanki. Dnia tego Ksenia była jakaś smutna i zamyślona: domyślałem się że przyczyną tego była paka olbrzymia sukien najmodniejszych na sezon letni i stroi przeróżnych, którą południowa poczta przywiozła z Warszawy, a którą Jenerałowa jako niespodziankę sprowadziła dla swej Soni. Uważałem, że każdy podarunek, każda drobnostka, jaką Ukrainka odbierała teraz z rąk naszej pani, zamącała spokój dziewczęcia na dni kilka i sprowadzała na jej jasne czoło chmurkę zadumy i smutku. Widocznie każdy nowy objaw uczucia i dobroci Jenerałowej, zamiast jak dawniej radować ją i cieszyć, teraz przeciwnie, odbierał jej zwykłą swobodę i wesele i pobudzał prostą i otwartą naturę dziewczęcia do wyrzutów sumienia. Dręczyła się w skrytości serca własną niewdzięcznością i wyrzucała sobie brak zaufania i tajemice, jakie żywiła dla swej kochającej, uprzedzającej każde jej życzenie opiekunki. Przez cały ten ciąg spaceru moja wesoła, figlarna faworytka dziwnie była milcząca i cicha, i podczas, gdy my wszyscy zamieszawszy się pomiędzy żeńcami, na wyścigi wśród żartów i śmiechu, poczęliśmy wiązać i znosić w kopy ciężkie żytnie snopy, ona całą godzinę przesiedziała pod kopą zamyślona i milcząca. Widziałem, że Eugeniusz przeczuwał troskę dziewczęcia i domyślał się jej powodu, bo przez cały czas ten starał się być koło niej ciągle i usiłował wszelkiemi sposobami rozweselić ją i wciągnąć do ogólnej zabawy, a kiedy po zajściu słońca powracaliśmy już do domu, zapewne chcąc uspokoić Ukrainkę i rozproszyć jej skrupuły, nakręcił rozmowę na temat miłości, dowodząc że jest to uczucie jedyne, wielkie, mocne i prawdziwe, które ma prawo wymagać dla siebie ofiary z wszelkich innych uczuć, jakiemi są przyjaźń, wdzięczność i przywiązanie.

Szliśmy w ten sposób podzieleni na grupy. Mirski mówił ze mną o jakiejś ostatniej ważnej wiadomości politycznej i nie uważałem, jak tam na drugim zagonie zawiązała się ta rozmowa, a kiedyśmy zamilkli i schwyciłem jej wątek, Skrzyński był już u kulminacyjnego punktu swych dowodzeń i idąc pomiędzy obiema pannami, zwrócony ku Kseni, rozpłomieniony, z błyszczącemi oczyma, porwany ogniem swych słów, jak apostoł wygłaszający z krasomówstwem wyznanie swej wiary, wykładał młodym słuchaczkom niejasną teoryą miłości jakiejś paryskiej, zagranicznej, nienaszej, bezbrzeżnej, zabierającej wszystko, wszystko unieważniającej, poświęcającej się, biorącej wszystko, niewahającej się przed żadną ofiarą, nieznającej granic żadnych!

Ksenia idąc po drugiej jego stronie, patrzała w niego jak w tęczę i widzieliśmy jej wielkie gwiaździste oczy utkwione w twarzy mówiącego z zachwytem i wiarą pół-kobiety, pół jeszcze dziecka.

— Nawet gdyby tą granicą był obowiązek i cnota kobieca? — zapytała go po chwili w odpowiedzi na słowa jego ostatnie.

— Nawet pani... bo przy miłości prawdziwej żadne inne uczucia i względy istnieć nie powinny, istnieć nie mogą, i jeśli tylko uczucie to waha się przed jakąkolwiek zaporą, to nie posiada dość mocy, to nie jest miłością prawdziwą i doskonałą!

Dziewczyna zamilkła i jak oczarowana zatonęła oczami w pięknej twarzy malarza.

— Panno Kseniu—ozwał się Mirski swoim łagodnym, sympatycznym głosem — słuchasz pani tego tak, że gotowaś uwierzyć. Ja przecież powiem pani, że to nieprawda! Miłość prawdziwa, to taka rzecz jasna, że wydziela z siebie promienie i tworząc w około siebie krąg jasny, zakreśla tym sposobem granicę dla istoty kochającej, której jej przekroczyć niewolno. Kobieta kochająca, dopóty kocha prawdziwie, dopóki pozostaje w tym jasnym, świetlanym kręgu, skoro go przekroczy, wstępuje bezwiednie w dziedzinę uczucia drugiego, różnego wcale, pełną cieni i mroków, gdzie łatwo stoczyć się może w przepaść, której tam w cieniach nie dojrzy.

Ksenia podniosła oczy na młodego człowieka, spoczęła niemi chwilę na pięknej, spokojnej jego twarzy a potem utkwiła je gdzieś z zadumą w dalekim, zasnutym wieczornym mrokiem widnokręgu.

— Zdaje mi się istotnie, że uczucie takie, jakie mi pan przedstawiłeś jest lepszem i doskonalszem — rzekła po chwili z zamyśleniem. — Ale wolałabym zawsze być kochaną tą drugą miłością bezbrzeżną i bezgraniczną! — dodała zwracając się nagle do Eugeniusza z całą potęgą uczucia w głosie i twarzy.

I na ten raz młody mój przyjaciel pozostał zwyciężonym i odtąd też nigdy nie słyszałem aby choć słowem odezwał się przy rozmowach młodej pary.

Wiosna zbliżała się szybko. Śniegi stopniały, wody opadły w swoje łożyska, wiosenny wiaterek wysuszył ziemię z zimowego błota i topieli, a słonko Boże ciepłemi promieniami wywabiać poczęło z pod ziemi drobne trawki i listeczki.

Starzy ludzie i znawcy twierdzili wprawdzie, że to wiosna zawczesna, nienaturalna, że za rychło wszystko się ożywia i rozwija, przepowiadali jeszcze słoty, mrozy, prorokowano różne straty i nieurodzaje z tego powodu, odgrażano się nawet biednym żabom, przepowiadając im, że kiedy śmiały się odezwać przed ś-tym Wojciechem, po ś-tym Wojciechu mróz przymusi je milczeć. Ale jakoś nikt się nad tem nie trapił, każdy z nadchodzącą wiosną wyciągał stężone przez czas zimowy członki, otwierał drzwi i okna, uśmiechał się do jasnego słonka, radując się, że mu ciepło, wonno, rozkosznie.

Nie wiem czy to tak każdemu, ale we mnie choć starym, na wiosnę budzi się zawsze jakaś cząstka natury ptasiej. Tak mi wesoło, tak lekko, zdaje mi się że chodzę nie dotykając prawie nogami ziemi, że nie ma mocy ludzkiej, któraby mnie utrzymała wtedy w domu. Cały też dzień przesiedzę w polu lub lesie i gdyby nie rozum i zastanowienie, to wędrowałbym gdzieś, wędrował bez końca, nie stojąc bodaj o kawałek chleba i dach nad głową!

W Młynach zawsze, a szczególniej na wiosnę było rozkosznie.

Skoro też tylko słońce wybiło się w górę i rosy poranne obeschły, wylegaliśmy do ogrodu na słońce, urządzaliśmy sobie wycieczki konne i piesze, w pole i do lasu, który choć szary jeszcze, ale rozwijający drobne, młodziuchne pączki, nabrzmiały cały żywo krążącemi sokami, napełniony zdawał się być balsamiczną, upajającą wonią i najmilszem dla nas zawsze był schronieniem. Wynajdywaliśmy też sobie tysiąc sposobności, aby używać jak najwięcej ruchu, powietrza i swobody i nie byłoby chyba weselszego i więcej bawić się potrafiącego towarzystwa wiejskiego jak nasze, gdyby nie troska o zdrowie naszej zacnej pani, która jak ciemna chmura, wśród najweselszych chwil i zabawy, rzucała cień na nasze czoła.

Jenerałowa zaraz po kostiumowym balu zasłabła na jakąś febrę i gorączkę, która przychodziła z początku co dni kilka, a potem coraz częściej, aż doszła do najregularniejszych paroksyzmów codziennych. Doktor H. po kilku bytnościach zdołał opanować chorobę, zalecając wszakże wielką ostrożność i uwagę.

Po dwóch tygodniach Jenerałowa opuściła łóżko, a niedługo zajęła swe zwykłe miejsce w fotelu w błękitnym pokoju. Widzieliśmy przecież wszyscy, że choroba choć usunięta, nie przeszła bez śladów w organizmie naszej drogiej pani. Niedawno tak ruchliwa i żwawa, teraz siedziała dnie całe pogrążona w fotelu, który kazała sobie przysunąć do okna, aby choć przez szybę mogła się przyglądać budzącej się do życia naturze; z książką na kolanach, albo różańcem w ręku, patrząc z pewną tęsknotą na ten świat piękny i wesoły, nie powstawała prawie z siedzenia, do którego przykuwało ją osłabienie, malujące się w całej jej postaci. Nie straciła jednak humoru, była wesołą jak zwykle i zajmowało ją wszystko, każdy przecież zbyteczny ruch lub rozmowa, męczyły ją, a przy głośnem czytaniu zasypiała, budząc się potem nagle i przepraszając serdecznie za swą nieuwagę. Patrzyliśmy wszyscy z trwogą i żalem na tę wątłą, bladą tera postać, która dla nas była jedynym węzłem łączącym nas pomiędzy sobą; każde z nas otaczających naszą dobrodziejkę, było obce jedno drugiemu, a oprócz tego, każde było rozbitkiem jakimś życia i sierotą, która tutaj, pod dachem tej świętej kobiety, znajdowała dom i rodzinę nową, kochającą i kochaną wzajemnie. To też zapytywaliśmy się siebie wspólnie, coby było gdyby nagle znikła z pomiędzy nas niepowrotnie? Cobyśmy poczęli wszyscy, gdziebyśmy w świat poszli, jak potrafilibyśmy wyżyć rozproszeni z naszego ciepłego kółka?

Jenerałowa widziała tę troskę naszą i staranie

około jej zdrowia i przyjmowała je z wdzięcznością.

— Warto chorować — powtarzała często z uśmiechem — aby się widzieć pielęgnowaną tak jak ja jestem.—Warto chorować dwa razy, aby przekonać się, że nawet taki kozak jak moja Ksenia, potrafi stać się siostrą miłosierdzia — dodawała zwykle z rozrzewnieniem głaszcząc jasną główkę sieroty.

W istocie Ksenia od czasu choroby ciotki, okazała dopiero rzeczywistą wartość moralną swej istoty. Dziewczyna ta szalona, wesoła, umiała rozwinąć teraz tyle dobroci i cierpliwości, tyle tkliwości i czułości czysto kobiecej, że patrzyliśmy na nią z podziwem, kiedy na początku choroby, nie wychodząc prawie z pokoju ciotki, przepędzała dnie i noce u jej wezgłowia, gotowa na każde skinienie chorej, przewidująca z cudownym instynktem niewieścim każde jej pragnienie. Później znów, w czasie konwalescencyi staruszki, godzinami całemi na stołeczku przy jej nogach przesiadywała cicho, spokojnie, czytając jej poważne, najczęściej religijnej treści książki, albo rozweselając ją swym humorem i dowcipem nigdy nieprzebranym. Jenerałowa nie nadużywała poświęcenia dziewczęcia; nie chcąc ją więzić przy swym fotelu, wypędzała ją prawie od siebie na świat i słońce, wynajdywała sama różne cele do przechadzek i wymyślała wycieczki i rozrywki coraz nowsze.

Widzieliśmy, że coraz więcej przywiązuje się do sieroty—starość i słabość, kochają zwykle młodość i siłę. Naszej też pani czoło rozjaśniało się tylko wtedy, gdy we drzwiach ukazywała się hoża i smukła postać powracającej z przechadzki, lub konnej wycieczki Ukrainki.

— Panie Sewerynie — powtarzała mi wówczas, ścigając oczami pełną życia twarz sieroty — nie pojmuję, jak ja mogłam tyle lat wyżyć bez tego dziecka! Nie mogę teraz nawet wystawić sobie, jakby to było, gdybym pozbawioną została widoku tej słonecznej istoty choćby na dwadzieścia cztery godzin. Stała mi się już nieodzowną, jak nieodzownem jest powietrze do oddychania. Bo to, proszę cię, nie tylko to piękne i inteligentne jak rzadko, ale także takie serdecznie, dobre i słodkie! Gdybym tak jeszcze mogła wydać ją zamąż dobrze — zakończała zwykle z tajemniczym uśmiechem.

Wydanie Kseni zamąż stało się teraz jedyną myślą mojej zacnej przyjaciółki.

Razu pewnego, gdyśmy sami pozostali w pokoju, zaczęła znowu mówić mi o wydaniu zamąż Kseni.

— Czy wiesz, kogo tu mam na myśli? — zapytała mnie naraz tajemniczo.

— Radbym wiedział — odparłem udając niedomyślność.

— Nic się pan nie domyślasz?

— Nic a nic.

— Widzisz, jacyście to wy niedomyślni! — roześmiała się staruszka. — Myślę tu o Stefanie. Nina będąc tu raz ostatni, napomknęła mi coś takiego, co dawało dużo do myślenia. Opowiadała mi o siostrzeńcu, jak odebrawszy te dwie wioski, urządza sobie domek mieszkalny w tej uroczej Woli i zamyśla na czas jakiś zamieszkać tu, chcąc gospodarstwo podupadłe i ziemię przez długie pozostawanie w rękach obcych wyniszczoną, przyprowadzić do porządku. Zapytałam wówczas Ninkę dlaczego właśnie przedsięwziął restauracyą i zachody około maleńkiego domku w Woli, posiadając tuż o milę w dobrach majoratowych pałac z przepysznym parkiem i wygodami wszelkiemi gotowy na swe przyjęcie? Nina roześmiała się na to i odpowiedziała mi żartobliwie, że to ona mnie powinnaby raczej o to zapytać, a widząc że najzupełniej nie rozumiem do czego słowa swe prowadzi. dodała po chwili seryo, że może właśnie chodzi Stefanowi o to, że dom mój jest najbliższem sąsiedztwem jego Woli! Dopiero po tych słowach Mirskiej rozjaśniło mi się w głowie i poczęłam kombinować rzeczy, na które dawniej nie zwracałam uwagi, a powinnam była widzieć od dawna. Nie przypuszczałam, aby częste wizyty Stefana, a tym więcej jego niespodziewane osiedlenie się w naszych stronach, miało mieć jakieś głębsze znaczenie. Zdawał mi się za poważnym na to, aby miał się zająć takiem dzieckiem swawolnem jak nasza Ksenia. Dzieją się przecież rzeczy, o których nikomu ani się śniło! Przy końcu życia przekonywam się, że tacy ludzie surowi i poważni, mogą kochać się w takich dzieciach fantastycznych... i Boga za to chwalę z całej duszy. Pomyśl tylko mój przyjacielu, mówiła dalej staruszka ożywiona i uśmiechnięta, jakaby to dla mnie była radość widzieć moją sierotkę ukochaną właśnie za tym chłopcem, który od lat najmłodszych był przedmiotem uwielbienia mego i podziwu. Już niczego drugiego w życiu nie pragnęłabym tak mocno, jak związku tego, i jeśli mam ja kąkolwiek zasługę za przyjęcie w dom sieroty, to czułabym się już wynagrodzoną całkowicie, gdyby przyszedł do skutku.

Zapytałem Jenerałową pół żartem, pół seryo, czy nie przypuszcza w tej sprawie trudności pewnych ze strony Kseni, która wcale na zakochaną w naszym przedsiębiercy nie wygląda, twierdząc zawsze otwarcie i stanowczo, że nudniejszego od niego człowieka, nie posiada chyba kula ziemska, a w napadach szalonego swego humoru, przedrwiwa i wyśmiewa niczem nigdy niewzruszoną flegmę i spokój młodego człowieka, nawet jemu w oczy.

Jenerałowa poruszyła się niezadowolona.

— Mój drogi, to takie jeszcze dziecko wesołe i figlarne, wszystko ją jeszcze bawi i z wesołej strony widzi świat cały! Komuż ona daruje i kogo nie wyśmieje? Kocha przecież ciebie szalenie, a jesteś pomimo to ofiarą jej figli i żartów, dlaczegóż Stefan ma stanowić wyjątek. Ja także idąc zamąż, nie byłam w całem znaczeniu tego słowa zakochaną. Byliśmy oboje z Julkiem prawie w jednym wieku, wyrośliśmy prawie obok siebie i nie było psoty którejbyśmy razem nie spłatali: ani mi przez myśl nie przeszło, aby mój młody towarzysz miał kiedyśkolwiek zostać mym mężem i mówiłam zawsze, że nie ma w świecie brzydszego od niego mężczyzny! Skoro przecież rodzice objawili mi swą wolę, abym wyszła za niego, bez namysłu oddałam mu rękę i nie było potem żony szczęśliwszej nade mnie! Zresztą nie uważam wcale aby Ksenia miała mieć jakąś szczególną niechęć ku Mirskiemu. Owszem, o ile widzę, są z sobą bardzo dobrze, najzupełniej na stopie przyjacielskiej. Stefan ma dla niej bardzo wiele pobłażliwości, pozwala jej żartować z siebie ile jej się podoba i patrzy z pewnem poważnem zadowoleniem na jej szaleństwa. Zdaje mi się, że tym sposobem potrafi sobie pozyskać jej względy żywsze... to już jego rzecz i musiałby nie być ani tak rozumnym, ani przedsiębierczym, żeby jej sobie nie miał pozyskać. My tylko nie mieszajmy się do niczego i starajmy się, aby Ksenia nie poznała, że życzymy sobie tego związku i planujemy coś kolwiek za jej plecami. Dziewczyna to tak samowolna i nieujęta, że gdyby zobaczyła, że stanowimy coś o jej losie, bez jej wiedzy i woli, zniweczyłaby go ostatecznie.

Słuchałem wynurzań mojej zacnej przyjaciółki nie bez wyrzutów sumienia. Staruszka ani się domyślała o ile więcej byłem poinformowany co do stosunku Kseni, do obu młodych ludzi bywających w domu. Zaraz po balu i rozmowie mej ze Stefanem chciałem pomówić z Jenerałową otwarcie o zamiarach jego względem naszej Ukrainki i o malarzu, który tym zamiarom jak nieprzebyta zapora stawał na drodze, ale właśnie w tym czasie rozpoczęła się choroba staruszki i nie mogłem rozmawiać z nią o rzeczy, którąby mogła zirytować ją i stan jej pogorszyć. Teraz zaś, kiedy poczęła przychodzić do zdrowia, najniepotrzebniej uprzedziła mnie hrabianka Nina, podsuwając jej myśl, której osłabiona i na czas pewien zamknięta w czterech ścianach pokoju konwalescentka, uchwyciła się z gorączką i uporem, właściwym ludziom wiekowym, niespodziewającym się już wielu w życiu radości.

Nie śmiałem rozwiewać nadziei staruszce i psuć jej złotego pasma marzeń, których snucie stanowiło teraz jej jedyną rozrywkę w chorobie. Czułem że powinna była jako opiekunka i jedyna krewna sieroty, wiedzieć pierwsza o wszystkiem co jej tyczyło, a nie mogłem zdobyć się na odwagę odkrycia jej prawdy, którąby ją zmartwiła i pogorszyć mogła stan jej zdrowia.

Doktor za każdą bytnością zalecał ostrożność, spokój dla chorej największy i myśli swobodne. Czasem brała mnie ochota postąpić samowolnie, wypowiedzieć Skrzyńskiemu dom, zrobić mu niegrzeczność, zmusić go czemkolwiek do zaprzestania wizyt i zerwania stosunków, ale jak na złość, Jenerałowa nie domyślając się żadnego niebezpieczeństwa, przyjmowała malarza nadzwyczaj uprzejmie i grzecznie. Umiał on zawsze rozweselić ją swym dowcipem, przywoził jej zawsze tysiące wesołych, zabawnych anegdotek i wiadomości z okolicy, które, usiadłszy na niskim taborecie przy jej fotelu, opowiadał ku wielkiemu zadowoleniu naszej pani i całego towarzystwa.

Pragnąłem gorąco, aby jakiś traf szczególny, niespodziewany zwrócił uwagę Jenerałowej i otworzył jej oczy na niebezpieczeństwo grożące sercu Kseni i wszystkim nadziejom co do jej przyszłości ze strony artysty. Zdawało się przecież, że to nie nastąpi nigdy — Eugeniusz tak zręcznie trzymał się swej obmyślanej taktyki, tak ostrożnie chodził około naszej Ukrainki, strzegąc się najlżejszego pozoru, któryby mógł ściągnąć na niego jakieśkolwiek podejrzenie i pozwalał uważać go za konkurenta zdecydowanego, że trzeba było patrzeć tak uważnie, jak patrzyliśmy obaj ze Stefanem, aby dojrzeć te tysiące delikatnych odcieni uczucia głębszego pod powłoką zwykłej grzeczności i zażyłości przyjacielskiej. Postępowanie takie Skrzyńskiego drażniło mnie jeszcze więcej. Jeśli kochał Ksenię, dlaczegóż taił się z tem i ukradkiem starał się obmotać jej istotę niewidzialnemi, słodkiemi więzami, zamiast otwarcie i jawnie wystąpić w roli starającego się i kochającego? Nie rozumiałem tej taktyki i czyniła ona na mnie bardzo przykre, przygnębiające wrażenie, tem więcej, że Ksenia najswobodniej w świecie i z czarującą prostotą wyznawała swe uwielbienie dla niego i przyznawała się, że w jej oczach jest on rodzajem pewnym ideału, człowiekiem niepospolitym, wyższym po nad wszystkich ludzi spotykanych dotąd w życiu! Jenerałowa żartowała z dziewczęcia twierdząc, że to pryzmat ukraińskiej poezyi, przez który patrzy, że tak idealnie

opromienia tęczowemi blaskami postać malarza dopiero od czasu gdy ubrał się w szarawary kozackie i czapkę z kołpakiem krasnym, poczęła tak nagle w jej oczach w olbrzyma wyrastać.

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Pan St. Gargulski, wydał nakładem księgarni Teodora Paprockiego, dziełko p. t. „**Książka** obejmująca naukę czytania, powiastki, bajeczki, ważniejsze modlitwy, krótki katechizm z przygotowaniem do spowiedzi, początki rachunków i sposób służenia do Mszy ś-tej" z drzeworytem przedstawiającym błogosławiącego Chrystusa.—Warszawa, 1882 r. stronic 104.

Książka ta, przeznaczona dla ludu, zawiera w sobie abecadlnik wraz z nauką czytania wedle dawnej metody, po których następuje zbiór powiastek Chęcińskiego, Hoffmanowej, Krakowowej, Brodzińskiego, bardzo odpowiednio wybranych dla młodych nierozwiniętych umysłów. Bajeczki Krasickiego, Jachowicza, Masalskiego i Zajączkowskiego. Po wstępie tym następują: Ważniejsze modlitwy, przykazania Boskie i kościelne, siedm Sakramentów oraz inne kardynalne zasady religii katolickiej i nakoniec Anioł Pański i modlitwy przed nauką, przed i po jedzeniu. Dalej idą pieśni religijne i Litania do N. P. Maryi. Część piątą tej książeczki stanowi: krótki katechizm nadzwyczaj treściwy i obejmujący wszystko co każdemu prawowiernemu chrześcianinowi wiedzieć należy, katechizm ten zakończony jest przygotowaniem do spowiedzi. Część szóstą stanowią początki rachunków, wyłożone jasno i zrozumiale, do tej części dołączone są: monety, miary i wagi. Idzie dalej sposób służenia do Mszy ś-tej po łacinie i po polsku. Tabliczka mnożenia i liczby rzymskie.

Z podanej tu przez nas treści dziełka p. Gargulskiego, widzimy, że zgromadził w niem wszystko, co do początkowej nauki jest niezbędnie potrzebnem a co każdy rozpoczynający się uczyć, przyswoić sobie powinien.

Książeczkę pomienioną polecamy Czytelniczkom naszym jako pożyteczną i sumiennie bardzo opracowaną.

Pan Piotr Jaksa Bykowski, powszechnie znany i lubiany gawędziarz, który tak barwnie umie opowiadać wydarzenia z czasów minionych, wydał nakładem księgarni T. Paprockiego, powieść z podań ludowych p. t. **Mulik niehistoryczny hetman Ukrainy**. Warszawa, 1882 r. str. 140. Rzecz cała osnuta jest na dziejach Hilarego Skulskiego podczaszyca Warszawskiego z czasów wojen Augusta II z Karolem XII.

Akcya odbywa się najprzód w ziemi Nurskiej, w dalszym zaś ciągu na Ukrainie w okolicach Białotówki na brzegami rzeczułki Rastawicy. Pan Hilary Skulski, podczaszyc Warszawski, z dziecińśtwa już przejęty wokacyą do stanu duchownego, zrzekł się na rzecz młodszego brata godności podczaszego ziemskiego Warszawskiego, i chcąc się wypróbować w walce z pokusami świata, postanowił czas jakiś pozostać na świecie a raczej w cichej wiosce, nim się odda zupełnie na usługi Pana nad pany. Inaczej jednak się stało, bo wokacya pana podczaszyca rozbiła się o piękne oczy Anny Rogalińskiej, pisarzówny ziemi Poznańskiej, z którą niebawem węzłem małżeńskim się połączył.—W ciągu kilkunastoletniego pożycia małżeńskiego, Skulscy utracili siedmiu synów, a dotknięci taką stratą i tak olbrzymim smutkiem oboje oddali się szczególnemu nabożeństwu trawiąc dnie i noce na iście zakonnych medytacyach. Tak mijały dnie i lata, gdy oto pewnego razu, w czasie takiej nocnej religijnej praktyki, ukazał się panu Hilaremu Archanioł Gabryel i polecił mu dopełnienie w młodości uczynionych ślubów.

Gdy jednak ze spełnieniem tychże zwłóczył, jeszcze dwukrotnie pojawił mu się ów zesłaniec nieba, napominając surowo, ażeby zadosyć uczynił woli Przedwiecznego. Otóż, zasięgnąwszy rady stryjeczno-stryjecznego brata O. Nikanora Skulskiego, bazylianina i opata mieleckiego, p. Hilary porozumiawszy się z żoną, sprzedał wioskę, ofiarując ztąd uzyskaną summę na rzecz opactwa Mieleckiego, a sam, przyjąwszy obrządek greko-unicki, wstąpił do seminaryum duchownego mieleckiego a podczaszyna na czas studyów męża zamieszkała u ojca swego. Po dwóch latach gorliwej nauki, opat postanowił byłemu podczaszemu udzielić święceń kapłańskich, a że wedle obrządku unickiego, każdy kapłan przed otrzymaniem święceń kapłańskich winien był dopełnić sakramentu małżeńskiego, przeto i pan Hilary teraz już Iraklien nazwany, wedle nowego obrządku zatwierdził dawne śluby uczynione żonie. Po dopełnieniu tego aktu, Władyka łucki ks. Gedeon Żaboklicki wyświęcił na kapłana O. Iraklego. W dni parę po tej ceremonii, nowo wyświęcony kapłan wraz z żoną swą, czyniąc zadosyć objawieniu Archanioła, udał się w świat szeroki celem wzniesienia siedmiu świątyń. Ostatnią z siedmiu świątyń wzniósł w Białotówce, gdzie znowu miał widzenie, w którem ukazał mu się Archanioł Gabryel zalecając, aby odpokutowawszy już grzechy, pozostał na miejscu i czekał nagrody jaką Bóg mu ześle.

Niebawem też O. Iraklemu przyszła na świat śliczna córeczka, której na chrzcie ś-tym dano imię Małanii. Gdy już Małanka dorosłą była dziewczyną, zapadła na ciężką chorobę, panującą we wsi i nie było już nadziei, aby podnieść się mogła z łoża boleści. Wtedy ojciec kapłan gorącą zaniósł modlitwę do świętego Archanioła, ślubując, że jeżeli córka wyzdrowieje to ją poświęci Bogu na usługi. Usłyszał też głos płynący z nieba, a zwiastujący, że Bóg go wysłuchał i że w miejsce córki, jego samego powoła do siebie.

Małanka w istocie wyzdrowiała cudownym sposobem, lecz O. Irakli opowiedziawszy o tem co zaszło, jeszcze dnia tegoż życie zakończył wśród powszechnego żalu tłumnie gromadzącego się ludu na pogrzeb bogobojnego i za cudotwornego uważanego kapłana. W lat parę, wdowa wraz z córką osiadły w Tatarskiem siole, gdzie im gromada w pamięć czynów zmarłego jako też i ich własnych cnót i zasług wybudowała domek o wiele piękniejszy od poprzednio zajmowanej plebanii. Liczni mołojcy usiłowali wtedy podobać się Małance i zdobyć sobie jej serce, lecz próżne były zabiegi i wskutek tego jednogłośnie uznali wszyscy, że dziewka jest opętaną przez dyabła. Zdarzenie chciało, że w czasie tym Małanka poznała jednego z mołojców chorągwi Mazepy i że tenże raz pędząc po nad jarem, wraz z koniem wpadł na kopicę z sianem nastroszoną widłami, bronić mającemi takowej od szkody jaką zrządzić mogło bydło.

Koń przebity padając całym ciężarem przygniótł mołojca, który pokaleczony i bez życia prawie zaniesiony został do domu Małanki, gdzie przy troskliwych staraniach matki i córki, powrócił do zdrowia. Kozak ów był sierotą bez własnej siedziby, pomimo tego między nim a Małanką zawiązał się stosunek miłosny — lecz cóż, kiedy połączyć się nie mogli, bo Małankę umierający ojciec ślubował Bogu oddać do zakonu, a bezdomny kozak swemu przybranemu ojcu Palejowi ślubował wedle owoczesnego zwyczaju Kozaków, żyć w stanie bezżennym. Ślub taki rozwiązać mógł jedynie ojciec rodzony. W czasie tych wypadków Mazepa z cząstką kozactwa swego stanął po stronie Karola XII, Palej zaś z większemi siłami po stronie cara. Umyślił więc Mazepa zgubić Paleja przez podstęp, co mu się też udało i Palej posądzony o zdradę, pozbawiony dowództwa, wysłany został na Sybir. Tam też kochanek Małanki, zwiący się Hukiem powędrował, aby dowiedzieć się od Paleja, kto jest jego ojcem, celem uzyskania od niego zwolnienia od ślubów.

Matka Małanki, ulegając prośbom córki i widząc że ta z tęsknoty za Hukiem i pod grozą dopełnienia ślubów przez ojca wykonanych, niknie jej prawie w oczach, zwolniła ją od tychże co tak podziałało na zdrowie Małanki, że takową wnet do zdrowia powróciła. Huk tymczasem dotarł do Paleja, od którego się dowiedział, że jest synem okrutnego Mulika hajdamaki i przewódzcy rozszalałych kozaków, którzy nie chcieli przyjąć Huka za sahajdacznego przez Paleja im naznaczonego. Mulik objąwszy władzę, nazwał się hetmanem i jako taki rozpoczął straszliwe i krwawe swe rządy. A że Huk wypowiedział mu posłuszeństwo i umknął z obozu nie wiedząc, że Mulik jest jego ojcem, przeto Mulik wyznaczył nagrodę na głowę jego. Lecz niebawem ozwało się w nim sumienie i zatęsknił za synem sprzedanym za wódkę; odwołał więc wydany rozkaz polecając, aby go żywcem ujęto i do obozu dostawiono. W trakcie tego Huk nadciągnął do obozu Mulika, gdzie poznany i wśród bójki między spierającymi się o niego kozakami ranny dostał się w ręce Mulika.

Teraz hajdamaka otoczyć chciał syna skarbami, bogactwem i nawet zezwalał na połączenie się syna z Małanką, byle tylko przy nim pozostał, lecz Huk na to zgodzić się nie chciał, niczego nie pragnąc jak tylko zwolnienia z uczynionych ślubów. Nakoniec Mulik obiecał uczynić zadosyć życzeniu syna, byle tylko jadącego wysłannika z papierami udowadniającemi niewinność Paleja, pojmał, zabił a papiery zniszczył. Huk zgodził się na to i przy pomocy wiernych mu kozaków, napadł na owego wysłannika; nie zabił go jednak, lecz wziął mu ubranie i puścił go wolnym wraz z papierami mającemi przyczynić się do wolności Paleja. Mulik jednak niedowierzając synowi, również czatował na wysłańca, a śledząc każdy krok syna, przekonał się, iż go zdradza. W uniesieniu też straszliwem, wystrzałem z pistoletu zabił Huka.

Gdy się to działo w obozie Mulika, Małanka jakby jasnowidząca zaczęła majaczyć o szczęściu, które ją czeka z połączenia z ukochanym, lecz zamiast tego przybył jeden z przyjaciół jego i doręczył Małance krwią zbroczoną plecionkę włosów nieszczęśliwego Huka, który odebrawszy i przywdziawszy na się strój weselny, Małanka rzuciła się w rzeczułkę, do której chcąc ją ratować, wskoczyła i matka. Małanka utonęła i ciało jej wypłynęło na brzeg tuż przy obozie Mulika, którą wraz z Hukiem w jednej mogile pogrzebać kazał. Matkę zas wydobyto z fal wzburzonej rzeczki, lecz niestety, bez życia i pochowano ją obok grobu jej męża.

Po tak strasznej zbrodni synobójca, odtrącony

przez swoich podwładnych, wypędzony z obozu, tułał się czas długi po jarach i okolicznych lasach aż nareszcie oddał się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości doczekawszy przeszło lat 100 życia swego.

Sąd grodzki Winnicki wydał też nań w r. 1744 wyrok, mocą którego mianujący się Mulikiem, zmysł zdrowy którego sąd znajdywał być w wątpliwości, osadzonym został w infirmeryi OO. Jezuitów w Winnicy a to do czasu aż sąd nie przekona się o tożsamości rzeczonego Mulika. Wyrok ten zapisany jest w dawnych grodzkich winnickich aktach.—Oto w możliwem streszczeniu treść utworu p. Jaxy Bykowskiego, utworu, który *powieścią* nazwany został, a który tak pod względem formy jako też i wykończenia właściwiej winienby być nazwanym: *Opowiadaniem*, *Gawędą* lub t. p.—Nowa ta praca sympatycznego naszego gawędziarza wiejąca duchem przeszłości, bardzo mile się czyta lecz głębszego zajęcia wcale nie budzi, tymbardziej, że rzecz ta zanadto legendziarskim sposobem jest opowiedziana, a z postaci przedstawionych w *Muliku* najudatniej wychodzą O. Irakli Skulski, Palej i Mulik, inne zaś postacie jak Anna Skulska, Małanka i Huk są dosyć bezbarwne aczkolwiek dwie ostatnie są niejako bohaterami powieści. Mimo tego jednak, nową tę pracę sędziwego autora witamy serdecznie, życząc aby w jak najdłuższe lata gawędził nam tak mile i ujmująco jak np. w „Memoryaliku palestranta trybunalskiego" w „Sądach podkomorskich" i wielu innych powieściach i opowiadaniach.

Wł. Kor. Zieliński.

Z rzeczywistości.

— Dziewczko ty moja — łza w oczach ci błyska,
A mnie patrząc — serce się kraje, —
— Mateńko, mnie duszno, mnie w piersiach coś ściska,
Mnie światła, powietrza nie staje.

Otwórzcie okienka, zdaleka w dolinie,
Błyszczący kos szereg migoce, —
Niech woń sianożęci skoszonej dopłynie
I zlekka mą pierś załoskoce. —

— Źle z naszą dziewczyną, dzień po dniu usycha, —
Od owych dni biedy i smutku,
Zrobiła się taka i blada i cicha,
Jak trawka najlichsza w ogródku.

Nie dziwy, sąsiedzie, doświadcza Bóg nędzę, —
Czy czarnej nie zlęknie się doli, —
Ja... mniejsza już jak tam ostatek dni spędzę, —
Lecz nie módz jej pomódz — to boli!

Tak młoda! zaledwie uplotła swą kosę,
Wieczernic się stała królewną, —
Zaledwie raz myć się wybiegła na rosę,
— Ot coś wam urzekło ją pewno.

Ot, wiecie, wszak z naszej wsi jadą za morze
Po chléb, komu nie stać tu chleba, —
Poślijcie ją razem... podróży jej może
I nieba inszego potrzeba.

A chociaż tam mówią niejeden z nas ginie —
Bez chleba kawałka, to komu
Poszczęści się zato — ten pewnie przypłynie,
Stęskniony po swoich do domu.

Ten znów ją przywiezie... toć będzie uciechy,
Gdy wróci wam krasna a strojna —
I wasze ostatnie dni w cieniu tej strzechy
Przepłyną jak dumka spokojna.

— Ja nie chcę, mateńko, mnie morza nie trzeba,
Ni nieba inszego, ni doli, —
Mnie dosyć do życia, czarnego tu chleba,
Jeżeli żyć mi Bóg pozwoli...

Ty szlesz mnie z miłości, a sama beze mnie,
Tak stęsknisz się, jak ja bez ciebie,
— Daremnie się dziewczę ty żalisz, daremnie
O matkę się lękasz, o siebie...

— Usłuchaj — a może powrócisz szczęśliwa. —
— I tybyś wysyłać mnie miała?
— O doniu, Bóg widzi — mnie pierś się rozrywa,
Lecz schniesz tu, nadzieja *tam* cała.

* * *

Ubrała w sukienkę płócienną, barwistą,
Mateńka swą biedną sierotę, —
I dała koszulkę choć zgrzebną, lecz czystą, —
I dała ostatnie dwa złote.

I szła tak do ludzi, do krewnych szła blada,
Za matką, co z płaczem prosiła,
By krewni, by cała podróżna gromada,
Łaskawą dla dziecka jej była.

* * *

Wiatr świeży gra z morzem i burzy i gładzi,
Dom rybek, drużyny motylej, —
I wbiega na okręt i swoim tam radzi,
By póki czas, nazad wrócili.

Jaskółka rozumie i w pomoc mu leci,
I krąży żałośnie nad głową, —
I zdaje się kwilić: ej dzieciż wy — dzieci, —
Pokarze was Pan Bóg surowo.

I poco ta podróż? ej, byle ochoty
Do pracy — chléb będzie tu czarny, —
A tam... dla jednego wyrośnie plon złoty, —
A innym... wybuja chwast marny.

I myśli słoneczko: ej — ptaszek to młody,
Mnie radzić należy za niego, —
I rzuca snop światła na pola, ogrody
Co pyta: nieszkodaż wam tego? —

Gdzieś chustka powiała, gdzieś postać kobieca
Upadła na piasek gorący, —
I słońcu oczami suchemi przyświeca,
I niebu jęk rzuca mdlejący.

A w obcem gdzieś siole rozchwiały się drzewa,
Śpiew płynie, śpiew sercu tłomaczy:
Oh, tam za morzami tak nikt nie zaśpiewa, —
Tam mówią, tam czują — inaczej! —

Rozumie to dziewczę i smutnie się żali,
I ludzi zaklina dokoła:
— O, puśćcie! — mnie w piersiach żal ogniem się [pali, —
Czas jeszcze... ja wrócę do sioła.

A oni snadź myślą: popłacze jak w chącie,
A potem zapomni... i tyle! —
O! wy jej nie znacie, wy żalu nie znacie,
Co kończy się chyba... w mogile! —

Ot — deska ostatnia — dziewczyna spostrzegła —
Łącząca ją z ziemią zrzucona;
Czekajcie!... ha, późno!... na pokład wybiegła,
Na pokład wybiegła... szalona!

Ostatni śmiertelny jęk piersiom wykradła, —
Jęk zadrgał i poszedł do nieba, —
Z tym jękiem, ku brzegom podana — upadła...
. . . .
Odejdźcie!... już nic jej nie trzeba.

* * *

Upadła i leży w bieluchnej koszuli,
Jak trzcinka złamana śród burzy,
Nie patrzcie tak na nią! już ust nie roztuli, —
Twarzyczki swej już nie rozchmurzy.

Ot, — rzućcie ją lepiej w ramiona tej fali
Błękitnej, co szemrze tak smutno, —
Jej ona da łoże z konch, muszli korali, —
Z sitowia na pościel da płótno.

Za ciasną snadź dla niej zwyczajna mogiła, —
Tu — może Ondyną z miesiącem
Wypłynie i będzie podróżnych nęciła
Ruchami, wejrzeniem płonącem.

A może... tu między morskiemi falami
Jest fala rzeczułki wioskowej, —
Co przyszła niebacznie aż tutaj z wiatrami
Z pod chaty sierotki i wdowy.

O, ona ją pozna i nazad odniesie,
Wiatr dobry jej pewnie pomoże,
O, dobrze wie ona, że córce zechce się
Przy matce śmiertelne mieć łoże...

I wyjdzie mateńka nad rzeczkę, na błonia
Rozmyślać o swojej dziewczynie,
Co gdzieś już daleko... i wyjdzie — a donia,
Do stóp swojej matki przypłynie...

I szepnie, gdy matce nie stanie już siły,
Gdy zdrojem łzy żrące pocieką:
— O nie płacz!... tak lepiej... od mojej mogiły
Przynajmniej nie będziesz daleko.

Józef Korwin.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Wszystkie pisma podały opisy odpustu z powodu pięćsetletniej rocznicy sprowadzenia cudownego obrazu N. Maryi Panny w Częstochowie, ale nie wszystkim zapewnie Czytelniczkom naszym wiadomo, że daleko po za morzami mamy drugą Częstochowę. Oto co pisze ztamtąd ks. prałat Tyszkiewicz:

„W miasteczku Częstochowie (w prowincyi Texas w Ameryce), gdzie od roku jestem proboszczem, utworzyło się Towarzystwo Św. Jana Kantego, którego celem jest szerzenie oświaty wśród ludu, i dla dojścia do niego pragnie zakładać szkoły i czytelnie. Towarzystwo Św. Jana Kantego istnieje dopiero od czterech miesięcy, a mimo tego wiele już dokonać zdołało. Opracowaną została ustawa przyjęta i podpisana przez 50 członków; założono fundamenta pod drugą szkołę w na-

szej parafii i cały potrzebny do budowy materyał jest już zwieziony. Parafia jest rozległa, więc do istniejącej już szkoły dzieci zamieszkałe w oddalonych miejscowościach uczęszczać nie mogą. Dalej wynajęto i urządzono dom na pierwszą czytelnię w Częstochowie i sprowadzono do niej niektóre czasopisma polskie.”

Obecnie po za oceanem, staraniem ziomków naszych i za wpływem ich kapłanów, wznoszą się trzy nowe kościoły, a mianowicie w South-Bend, w Chicago i w Grand-Rapids. Kazania w nich miewane będą w polskim i angielskim języku; do każdego należy najmniej 700 osób pochodzenia polskiego. W South-Bend kamień węgielny poświęcił ks. Czyżewski; w Chicago ks. Urban Raszkiewicz; w Grand-Rapids proboszczem jest ks. Lisicki, a wikaryuszami księża Rodowicz i Rogoziński.

*** W obecnem stuleciu coraz więcej rozpowszechnia się w Europie zwyczaj uroczystego obchodzenia stuletnich pamiątkowych rocznic; kilka takich uroczystości przypada obecnie we Włoszech.

I tak, Arezzo przygotowuje się, odświeża i stroi dla uroczystego obchodu sześćset-letniej rocznicy urodzin zakonnika Gwidona z Arezzo, wynalazcy nut muzycznych, które nazwał od pierwszych zgłosek łacińskiego kościelnego hymnu, *do re mi fa sol la si*. Odsłonięcie olbrzymiego marmurowego posągu, wykonanego przez profesora Salvina Salvigni'ego z Bolonii, połączone będzie z wielką narodową wystawą narzędzi muzycznych. Trzydzieści kapel grać będzie razem w chwili odsłonięcia. Jedynymi w swoim rodzaju będzie kongres śpiewu gregoryańskiego i historyczna wystawa nut do śpiewu. Wystawa narzędzi muzycznych od czasów Gwidona aż do obecnych, urządzona będzie w kościele Św. Ignacego; król i królowa a z nimi cały świat arystokratyczny, uczony i urzędowy zjechać mają na tę wielką uroczystość. W teatrze *Petrarka* daną będzie dla pary królewskiej opera Henryka Boito *Mefistofeles*, odśpiewana przez pierwszorzędnych artystów. Dalej Włochy zamierzają uczcić uroczyście 19-to wiekowy jubileusz Wirgiliusza, w Mantui, w d. 17 b. m. Przybyć nań mają najbieglejsi łacinnicy włoscy i zagraniczni, a niedługo po tym jubileuszu nastąpi nader uroczyste odsłonięcie posągu św. Franciszka z Assyżu, wykonanego przez sławnego rzeźbiarza Dupré, niedawno zmarłego we Florencyi. W roku 1883 w marcu dnia 28, obchodzoną ma być w Urbino czterechsetna rocznica urodzin Rafaela Sanzio, na cześć którego wzniesiony ma być marmurowy pomnik.

Niektórzy powstają na częste urządzanie podobnych uroczystości pamiątkowych, z obawy aby nie spowszedniały, lecz z drugiej strony uprzytomniają one przeszłość, uczą historyi młode pokolenia, tak skłonne do zapomnienia przeszłości; podniecają przywiązanie do rodzinnej ziemi, wywołują liczne prace historyczne i monografie. Tym sposobem cały naród uczy się własnej historyi, bo przed każdym takim obchodem wszyscy o nim mówią i zajmują się, dzienniki i pisma peryodyczne piszą i objaśniają każdą taką uroczystość, a taki coby ani pomyślał badać księgi historyczne, chętnie przeczyta krótkie sprawozdanie, choćby dlatego, aby bez pracy pochlubić się erudycyą.

*** Finlandczycy zamieszkali w Petersburgu, powzięli piękną myśl założenia Towarzystwa w celu dopomagania kobietom fińskim, pragnącym otrzymać wyższe wykształcenie, a to przez urządzenie dla nich mieszkań bezpłatnych i dostarczanie potrzebnych środków. Piękny cel a dany przykład godzien naśladowania.

*** „Nowosti” i inne gazety rossyjskie podają że w pośród włościan zamieszkałych w powiecie petersburskim, zaczyna się rozkrzewiać szczególniejsza sekta, której zasadniczym dogmatem jest przewaga kobiety w rodzinie. Wyznawcy tej sekty zawierając związki małżeńskie, przysięgają nieograniczone posłuszeństwo i uległość swym żonom, i co tydzień w dniu oznaczonym odprawiają przed niemi pokutę. Charakterystycznem jest że większość tych osobliwych sekciarzy, odznacza się trzeźwością i niezwykle moralnem postępowaniem. Wierni wykonanej przysiędze, sekciarze ślepo ulegają żonom, które wybierają z pomiędzy siebie tak zwaną „panią” której obowiązkiem jest rozpatrywać przewinienia mężów, i w razie złamania przez nich posłuszeństwa, surowe naznaczać kary. Władza „pani” jest nieograniczona, sekciarze ślepo spełniają jej wolę i bez szemrania poddają się nader ostrym nieraz karom. Chyba już i Ludwika Michel byłaby zadowolnioną?

*** Dowcipny fejletonista francuzki p. Karol Mouselet zadał sobie pracę przekonania się ze źródeł historycznych, pism i tradycyi jak dawno zaczęto używać talerzy i jak stopniowo i bardzo powolnie użycie ich się rozpowszechniało. Otóż przekonał się że używanie talerzy nie jest tak znów dawno jakby się zdawać mogło. W „Enejdzie” Wirgiliusza czytamy, że towarzysze prześladowanego przez Junonę trojańskiego emigranta, zamiast talerzy, używali przy uczcie dużych cienkich kawałów chleba. Opisy koronacyi Ludwika XII swiadczą iż tymże samym sposobem zastępowano nieznane jeszcze talerze — po uczcie kawałki te chleba rozdawano ubogim. Starożytni nie znali także użycia serwet, co najwięcej, zasłaniali się brzegami obrusów, jeźli stół był nimi nakryty. Początek używania noży ginie w pomroce odległej starożytności. Zanim ludzie potrafili wyrabiać je z bronzu albo żelaza, potrzeba nauczyła ich łupać i szlifować krzemień, aby rozdzielać nim na części mięso zwierząt używanych na pokarm. We Francyi, pierwsza fabryka wyrabiania noży, podług podań, założoną była w mieście Beauvais, w IX wieku naszej ery. Wówczas także nie używano jeszcze widelcy i najwykwintniejsi nie wahali się przytrzymywać palcami mięso które krajali, a odkrojone kawałki końcem noża do ust nieśli. Pierwszy Henryk III kazał robić srebrne widelce. Zdaje się iż Chińczycy, od tak dawna mistrze w wyrabianiu porcelany, wyprzedzili Europę w używaniu talerzy, ale zato zacofali się strasznie pod względem łyżek i widelców.

Pięknyż to musiał być widok dworskich pań i panów, palcami przytrzymujących mięso przyprawne sosami!

*** W ostatnich czasach pisma nasze i zagraniczne wspominały o nowem odkryciu, to jest o sposobie uśmierzania najbardziej wzburzonego morza przez wylanie na jego powierzchnię pewnej odpowiedniej ilości oliwy lub oleju, co dozwala okrętom płynąć bezpiecznie. Niejaki p. John Shield utrzymuje że sposób ten, którego skuteczności doświadczył na nadzwyczaj wzburzonem morzu, wyczytał w Piśmie św., gdzie Salomon porównywa „łagodne słowa spokojnego człowieka do oliwy wylanej na rozhukane morze. Uważał za obowiązek podać do wiadomości powszechnej środek którego zbawiennej skuteczności doświadczył. W miarę jak oliwa rozpływała się po powierzchni wód, spienione fale uspokajały się jakby cudem. Kapitan Betts, z *King Ceurie* płynął z Liverpool do Bombay; w ciągu podróży zerwał się gwałtowny uragan, trwający przez pięć dni; przypomniał sobie próby odbywane na Atlantyku, i wziąwszy dwa wielkie worki płócienne, poprzebijał w nich małe dziurki i wlał w nie dwa galony oleju, poczem przymocował je po dwóch stronach okrętu. W miarę wylewania się oliwy i roztaczania po morzu, bałwany rozbijające się dotąd gwałtownie o boki okrętu, nie zbliżały się więcej i pewna otaczającą okręt przestrzeń wód, zupełnie była spokojna. Korzystając z tego, osada mogła naprawić uszkodzenia zrządzone burzą i ocalić okręt który byłby niezawodnie zatonął. Obecnie wszystkie statki transportowe udające się do Egiptu, zaopatrzone zostały w worki i zapas oliwy, aby mogły rzucić je w morze w razie burzy wybuchłej w zatoce Biskajskiej; będącej jak wiadomo postrachem marynarzy płynących ku morzu Śródziemnemu.

Nie jest to żadne nowe odkrycie; nie sięgając aż czasów Salomona, skuteczność środka tego sprawdzoną została jeszcze w r. 1834 doświadczeniem pani Joanny Pover, której genialne zdolności przyrodnicze, podziwiały różne akademie europejskie. Pani ta, Francuzka rodem, z domu de Villepreux, poślubiła Irlandczyka p. Pover bankiera w Messynie. Tam-to uczona ta kobieta porobiła różne odkrycia którym zawdzięcza swą sławę. Tam także wymyśliła akwarium które spuszczać kazała w głębie fal morskich co dozwalało jej przez jasne przezrocza wód morza tego obserwować zwyczaje uwięzionych gatunków, co nie przeszkadzało im jednak zupełnej używać swobody. Pewnego razu łódź pani Pover zaskoczona została jedną z tych gwałtownych burz tak nagle zrywających się na morzu Śródziemnem. W chwili największego niebezpieczeństwa, każdy na łodzi chwytał się najbliższego środka ratunku: nie widząc nic innego, pani Pover pochwyciła baryłkę oleju leżącą na dnie i wylała go na morze, w chęci użycia próżnej baryłki dla podtrzymywania się na wodzie do chwili przybycia spodziewanej pomocy. Wtem spostrzegła z niewysłowionem zadziwieniem że morze uspokoiło się, a łódź miotana pierwej gwałtownie rozhukanemi bałwanami, stała spokojnie pomimo burzy. O odkryciu tem zawiadomiła niezwłocznie akademią messyńską, gdzie przyjęto jej sprawozdanie ze zwykłą akademiom uprzejmością, a jednocześnie mąż jej udał się niezwłocznie do Londynu, zawiadomić Towarzystwo królewskie, które równie grzecznie obiecało wziąć je pod rozwagę i na tem się skończyło. Tylko podróżni podczas burzy przybywający do Londynu, nie mogli wyjść z podziwienia, patrząc na mały statek *Daida*, na którym uczona oddawała się swym obserwacyom, przesuwający się najspokojniej po powierzchni wzburzonych fal, podczas gdy największym okrętom zagrażało rozbicie. Następnie pani Pover zrobiła doświadczenie że przez domieszanie do oliwy piasku, rozkiełznane fale prędzej jeszcze się uspokajają i nie tak wiele wychodzi oliwy.

*** W zeszłym miesiącu przybyła do Londynu słynna w świecie pani Wiktorya Woodhull, *adwokatka* praw natury a potępiająca śmieszne prawa wymyślone i narzucone przez prawodawców. Ucichło o niej czas jakiś, aż znów pojawiła się na horyzoncie politycznym, nie lękając się czarnych widniejących na nim punktów. Teraz już nie poprzestaje na domaganiu się równouprawnienia kobiety — pod każdym względem — ale zajęcia miejsca między panującymi, do czego czuje się naj-

zupełniej uzdolnioną. Mistres Wiktorya Woodhull żąda, aby stawiono jej kandydaturę do prezydentury Stanów Zjednoczonych, przy wyborach jakie mają mieć miejsce w r. 1884. Ogłosiła wezwanie do wszystkich miast, miasteczek i wsi w Europie, aby ze wszystkich krajów wysłano delegacye kobiet do Ameryki, dla popierania jej wyboru. Manifest ten swój datuje z wolnej Anglii, oznajmiając zarazem, iż kapitaliści angielscy udzielają jej tak hojnego i wspaniałomyślnego poparcia, iż jest w możności zaofiarować delegatkom bilety bezpłatnej podróży tam i napowrót do Nowego Yorku, Filadelfii lub Bostonu, oraz ponieść wszelkie koszta utrzymania przez kilka dni jakie zabawią w tych miastach. Prawdopodobnie jedynem następstwem tego manifestu, przynajmniej odnośnie do osób rozsądnych, będzie wyśmianie jego autorki po obu stronach Atlantyku; ale z drugiej strony, żyjemy obecnie w czasach, w których wszystko niemal jest możliwem, nie ma więc niepodobieństwa, aby nie znalazła się pewna liczba kobiet gorąco popierających kandydaturę tej obronicielki praw przyrody, której doktryna jest tak szeroką i luźną, że wszelkie gusta zaspokoić może. Pani Wikorya Woodhull obdarzona jest wszelkiemi powabami, jakie mogą zjednać kobiecie miłość i szczęście. Jest wysoka, piękna, wymowna i inteligentna, ubiera się bardzo gustownie i czaruje wszystkich nietylko urokiem piękności ale i urokiem wymowy, której słuchający nie może prawie się oprzeć. Trudno jednak przypuścić, aby w prawach i obyczajach Stanów Zjednoczonych nastąpił tak ogromny przewrot, aby panią Wiktoryę Woodhull obrano prezydentem. Dodaje jej nadziei i podnięty nominacya ajenta dyplomatycznego w Waszyngtonie, udzielona przez rzeczpospolitą Costa-Rica, pięknej i młodej pani Beatrice, Amerykanki z urodzenia, której rodzice wyemigrowali z Alabama podczas wojny separatystowskiej. Pani Beatrice mówi biegle kilkoma językami, potrafi powiedzieć mowę i prowadzić rozmowę w każdym przedmiocie, gra i śpiewa artystycznie, a obok tego... szyje i haftuje prześlicznie. Oto lista przymiotów i talentów nowej ambasadorki Costa-Rica w Waszyngtonie, gdzie panowie senatorowie z wielką niecierpliwością oczekują jej przybycia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorowi wierszyków: „W majowy ranek" i „Zaswatana". Byłyby niezłe, ale mają rażące błędy. Wianek wije się nie z *rozmaryna*, ale z *rozmarynu*. Jeżeli brwi i oczy są *sobole*, to już nie mogą być *sokole*. Dzieweczki, która główkę wychyla i ma ruch motyla, nie można zwać *dziewką*, bo do nazwy tej przywiązane jest pojęcie z motylem żadnego nie mające związku.—Myśl zawsze odpowiadać musi wyrazowi a wyraz myśli, bo bez tego harmonia ginie i najlepszą pracę na śmieszność się naraża.

Panu T. w Radomiu. W wierszyku myśli bardzo piękne ale forma zupełnie zaniedbana.

Pani Stefanii W. w Kopaciówce. Każdy numer co tydzień jak najregularniej jest wysyłany do miejsca swego przeznaczenia, gdyż nad tem najściślejsza kontrola jest prowadzona w Redakcyi o czem już nieraz pisaliśmy, i jak prenumerator do regestrów raz zapisany zostanie, opuszczenie go w ekspedycyi nastąpić nie może. Wszelkie zatem niedokładności nie z winy pochodzą Redakcyi, ale z nieporządku stacyi pocztowej z której Pismo jest odbierane. Na brak dbałości pod tym względem, wszystkie Redakcye narzekają i z własnego interesu radziby bardzo tego unikać. Zażalenia jednak wszelkie chętnie przyjmujemy i o ile można zadosyć im czynimy.

K. B. Wierszyk dla Tygodnika, ma uchybienia niedające się usunąć. Drugi w Przyjacielu Dzieci zostanie pomieszczony.

P. Januszowi B. w Częstochowie. Z wierszy nadesłanych „Piosnka" zostanie wydrukowaną, dwa drugie, w treści zbyt zawiłe, myśl niejasno przedstawiają.

P. Stefanowi Ż. W formie utworów poetycznych zbyt rażących zarzutów nie ma, ale forma nie zastąpi tego, co nadaje wartość każdej piśmiennej pracy. W wierszyku np. „Anioł stróż", ten staje nad dziecięciem śpiącem w kołysce, a niemowlę choć tak malutkie a już marzy o zabawkach, kwiatach, wspieraniu niedoli i jak je Bóg za to nagradza. Czyż to naturalne? Podobne obrazowanie i w innych znajduje się. Dowodzi to zbyt młodzieńczych uczuć autora, niemogących myśli swych uwięzić w pęta rozwagi, która dopiero z czasem bierze przewagę i ubogacona wiedzą, w harmonijnym ładzie przemawia do ludzi.

Zawiadomienia.

ZAKŁAD

NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr. 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesięcy 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczenicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane		
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
do rzemiosł	„	6
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Na liczne zapytywania, co do znaczenia dwóch edycyi dzieł Jana Kochanowskiego: lwowskiej Altenberga i krakowsko-warszawskiej Koziańskiego i Centnerszwera (właściwie Kazimierza Bartoszewicza), niżej podpisani czują się w obowiązku oświadczyć, iż te z wydaniem pomnikowem dzieł tego poety, których druk rozpoczynamy, nic wspólnego nie mają.

Józef Przyborowski, Ludwik Jenike, Ad. Ant. Kryński, Roman Plenkiewicz, Tadeusz Włoszek.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Сентября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 38, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

JERZEGO OHNET.

(Przekład z francuzkiego.)

I.

W jasny dzień październikowy 1880 r., młody człowiek w eleganckiem myśliwskiem ubraniu, siedział na skraju pięknego dębowego lasu, osłaniającego swym cieniem pierwsze pochyłości gór Jurajskich. O kilka kroków dalej, leżał rozciągnięty w krzakach piękny wyżeł zapatrzony w swego pana, jak gdyby zapytując oczami czy prędko wrócą do domu. Ale myśliwy widać nie myślał jeszcze o tem. Oparłszy dubeltówkę o pień drzewa, torbę myśliwską rzucił obok siebie, i plecami obrócony do słońca, wodził wzrokiem po prześlicznym do koła roztaczającym się krajobrazie.

Z drugiej strony drogi przy której siedział, brzegiem wielkiego lasu ciągnął się lasek od lat paru zasiany, którego młode odrośle tworzyły jakby wysepki zieleni w pośród paproci i zżółkłych traw. Las pochylał się stopniowo ku dolinie, osłaniając łąki Pont-Avesnes, oraz wyniesioną po nad czerwone dachy domów dzwonnicę miejscowego kościoła. Na prawo wnosił się pałac otoczony szerokiemi wyschłemi fosami, w których posadzono owocowe drzewa. Nieco o podal płynął wązki strumień wody, któremu mieszkańcy nadają szumną nazwę „rzeki Avesnes“ błyszcząc jak srebrna wstęga wśród drżących liści osiny, pochylających się ku jej brzegom.

Dalej sterczały wysokie kominy wielkich pieców kuźni; z których buchał dym czerwony, rozpędzany wiatrem na wszystkie strony. Jasno błękitne niebo jaśniało pogodą; na wyżynach unosiła się lekka przezroczysta mgła; głęboka cisza zalegała do koła, i tylko niekiedy przygłuszony odgłos młotów dochodził z huty na skraj lasu.

Uroczysty ten spokój przyrody oddziaływał silnie na młodego myśliwego, który siedział nieruchomy. Wkrótce jednak przestał podziwiać piękny krajobraz; ogarnęło go poczucie jakiejś niewysłowionej błogości, myśl biegała z przedmiotu na przedmiot, gubiąc się w jakichś nieokreślonych wspomnieniach. Słońce pochylając się, złociło swym blaskiem wysokie drzew szczyty; dawało się czuć cięższe, duszne powietrze; coraz większa cisza zalegała w lesie.

Głęboką zadumę młodzieńca przerwał nagle pies jego, który kładąc łep na kolanach pana, wlepił w niego błagalne spojrzenie, wyrażające niemą prośbę.

— Aha! nudzisz się, mój stary! no, no! uspokój się, pójdziemy do domu, rzekł młody myśliwy.

Podniósł się, zarzucił torbę przez ramię, wziął dubeltówkę i przeskoczywszy niewielki rów wszedł do lasu. Pies pobiegł przed nim; aż nagle zatrzymał się, podniósł łapę, wyciągnął szyję i stał tak jak przykuty, machając ogonem i oczami przyzywając pana. Młody myśliwy prędko postąpił ku niemu i w tejże chwili z zarośli wybiegł młody zając, uciekając prędko. Myśliwy wziął go na cel i strzelił; ale gdy dym wystrzału się rozszedł, zobaczył z niezadowolnieniem zająca zmykającego przez las.

— A! i tego chybiłem! mruknął.

A zwracając się do wyżła patrzącego nań z rezygnacyą, dodał:

— Zemknął! a szkoda, wypłoszyłeś go wybornie.

W tejże chwili rozległ się w lesie wystrzał o jakie sto metrów dalej, i niezadługo dał się słyszeć odgłos kroków i szelest rozsuwających się gałęzi, z po za których wysunął się mężczyzna silnie zbudowany, w błękitnej płóciennej bluzie, w wysokich myśliwskich butach i w zniszczonym kapeluszu. W jednej ręce trzymał dubeltówkę, w drugiej, za tylne łapy, świeżo upolowanego zająca.

— Jakoś szczęście lepiej panu sprzyjało, rzekł z uśmiechem młody myśliwiec.

— A! więc to pan strzelał? zapytał przybyły.

— Tak, ale bardzo źle; zając przebiegł mi między nogami, i chybiłem go o dwadzieścia kroków.

— No, rzeczywiście nie strzelał pan zbyt celnie, odrzekł przybyły z lekkiem odcieniem szyderstwa,— ale z jakiego tytułu poluje pan w tej stronie lasu?

— Z tytułu przysługującego mi prawa, odrzekł z pewnem zadziwieniem.

— Zdaje mi się że prawo takie nie istnieje; las ten jest własnością pana Derblay, który nikomu polować w nim nie pozwala.

— A! właściciela huty z Pont-Avesnes, odrzekł nieco wyniośle młody człowiek; przykro mi bardzo że jestem na jego gruncie mimo mej woli i wiedzy, zabłądziłem widać. Zapewnie jesteś pan leśniczym pana Derblay?

— A któż pan jesteś? zapytał człowiek w bluzie, nie odpowiadając na zadane mu pytanie.

— Jestem margrabia de Beaulieu, i proszę wierzyć że nie mam zwyczaju polować w cudzych lasach, odrzekł młody myśliwy.

Usłyszawszy tę odpowiedź, człowiek w bluzie zaczerwienił się mocno, i odrzekł kłaniając się uprzejmie.

— Pan margrabia raczy mi przebaczyć, gdybym był wiedział kogo mam zaszczyt spotkać, nie byłbym się ośmielił zatrzymywać go i żądać tłomaczenia. Chciej pan polować ile i kiedy mu się podoba, nie przeszkadzam i odchodzę.

Młody margrabia bacznie przypatrywał się mówiącemu. Widział iż pomimo zbyt prostego ubioru, miał dobre ruchy i obejście. Był bardzo przystojny; rozumną i wyrazistą twarz jego otaczały czarne włosy i broda, ręce były zgrabne i starannie utrzymane, a dubeltówka jego odznaczała się bogatą prostotą, cechującą kosztowne wyroby angielskich puszkarzy.

— Bardzo panu dziękuję, odrzekł zimno mar-

grabia, ale nie mam zaszczytu znać pana Derblay, i wiem tylko że jest bardzo niedogodnym sąsiadem, i że mamy z nim już zatargi — to też będę unikać najstaranniej aby nigdy nie dać ani jednego strzału na jego gruncie. Od wczoraj dopiero bawię w Beaulieu, nie znam dobrze granic i przekroczyłem je bezwiednie, uniesiony myśliwskim zapałem... Ale nie zdarzy mi się to więcej.

— A jednak mogę pana margrabiego zapewnić, iż pan Derbley byłby bardzo szczęśliwy gdyby miał sposobność dowieść mu, że jeźli jest niezgodnym sąsiadem, to najzupełniej mimowolnie... Urządzając kolej żelazną do kopalni, część jej przeprowadził na gruncie należącym do Beaulieu, ale to z powodu że granice dwóch posiadłości nie były dość ściśle oznaczone — sam pan margrabia doświadczył że bezwiednie przekroczyć je można — ale gotów jest dać wszelkie żądane zadość uczynienie... Nie sądź więc pan margrabia pana Derblay nie znając go... bo zapewnie poźniej żałowałbyś swej surowości...

— Jesteś pan zapewnie przyjacielem lub może jednym z podwładnych właściciela huty, rzekł margrabia, gdyż bronisz go z takim zapałem...

— Bardzo naturalnym, wierzaj mi pan—a zmieniając rozmowę, dodał: Ale zdaje się że szczęście nie sprzyjało dziś panu margrabiemu, zarówno w Beaulieu jak w Pont-Avesnes? pan Derblay bardzo dba o myśliwską reputacyę swego lasu, i bardzoby mu było przykro gdyby pan opuścił go nic nie upolowawszy — racz więc pan zabrać zająca którego tak uprzejmie mi napędziłeś, oraz te cztery kuropatwy.

— Nie mogę tego przyjąć, odrzekł żywo margrabia; proszę zabierz pan swoją zwierzynę i nie nalegaj...

— A jednak nie odstąpię choćbym się miał narazić panu margrabiemu, odpowiedział; zwierzynę zostawiam. Jeźli pan margrabia nie raczy jej zabrać, lisy skorzystają z tego... Mam zaszczyt pożegnać pana...

To powiedziawszy, pobiegł prędko i znikł w lesie.

— Panie! panie!... krzyczał młody margrabia.

Daremnie, człowiek w bluzie znikł bez śladu.

— A to zabawna przygoda! rzekł młody myśliwy; co tu zrobić?

Nieprzewidziana interwencya położyła kres jego wahaniom; wyżeł poskoczył i ostrożnie biorąc w paszczę kuropatwę, przyniósł ją panu. Margrabia roześmiał się i rzekł głaszcząc psa:

— A! nie chcesz pozwolić abym powracał z niczem? cóż mam robić!

I włożywszy do torby zająca i kuropatwy, wolnym krokiem wracał do domu dźwigając niezwykły ciężar.

Pałac Beaulieu jest to gmach zbudowany w stylu Ludwika XIII, składa się z głównego korpusu i dwóch skrzydeł. Postawiony jest z białego kamienia i cegły. Przed pałacem roztacza się wielki taras, mający pięćset metrów długości, okolony balustradą z różowego kamienia; na tarasie tym urządzony jest kwiatowy kobierzec. Peron o ośmiu schodach prowadzi z niego do pałacu; pod peronem urządzona jest grota. Boki peronu zdobi kunsztownie wykończona krata żelazna, po ktorej wiją się piękne pnącze.

Taras ten, wystawiony na południe, w późnej porze stanowi piękne miejsce spacerowe; widok z niego prześliczny. Do koła pałacu roztacza się rozległy park obejmujący 30 hektarów przestrzeni. Huta pana Derblay zaszkodziła nieco piękności krajobrazu i zakłóciła ciszę wiejską; jednak mimo to pałac stanowi jeszcze wspaniałą, nader pożądaną rezydencyę.

Piękny ten pałac długie lata stał pustkami, Margrabia de Beaulieu, ojciec młodego myśliwego, roku 1845. mając zaledwie lat dwadzieścia, odziedziczył wielki majątek ojczysty i udawszy się do Paryża, zaczął wieść tam wesołe i hulaszcze życie. W porze polowania przybywał corocznie do Beaulieu i spędzał tam trzy miesiące; była to wielka uroczystość dla całej okolicznej arystokracyi, a przepych, hojność i rozrzutność margrabiego, wzbogacały okolicę na całą zimę.

Gdy wybuchła rewolucya w 1848 roku, właściciele winnic z Pont-Avesnes podnieceni podmowami socyalistów, postanowili odwdzięczyć się za szlachetną pomoc i poparcie jakie dawał im margrabia, zniszczeniem i zrabowaniem jego pałacu. Uzbrojeni w fuzye, kosy i widły, rozwinąwszy czerwony sztandar, udali się do Beaulieu, rycząc *Marsyliankę*. Wyłamali kratę której bramy odźwierny otworzyć nie chciał, i rozbiegłszy się po pałacu, rozbijali i niszczyli czego zrabować nie mogli. Najzuchwalsi wyłamali drzwi do piwnicy, kradzież zamieniła się w pijatykę. Margrabia posiadał doskonałe wina; winiarze umieli poznać się na nich, a popiwszy się, największych dopuszczali się gwałtów. Wpadłszy do cieplarni, pełnej najrzadszych, nader starannie utrzymywanych kwiatów, zaczęli je łamać, deptać i tłuc piękne marmurowe wazony.

W środku jednego klombu, wznosiła się na podstawie prześliczna Flora dłuta Pradier'a; u stóp jej szemrała fontanna. Któryś z pijanej tłuszczy chciał uderzyć kosą w prześliczną twarz posągu, gdy w tem jednego z jego towarzyszy ogarnął napad czułości dla pięknej bogini; zawołał więc że jest wielbicielem sztuk pięknych, i że rozpłata kosą swoją każdego coby się poważył dotknąć posągu. Tym sposobem Flora ocalała.

Zniszczywszy pałac, postanowili zasadzić drzewo wolności. W tym celu wykopali z parku młodą topolę i poprzywiązywawszy do niej różne czerwone strzępki, krzycząc i rycząc posadzili ją na środku tarasu. Szalona orgia rewolucyjna trwała przez całą noc; nad ranem przybyła brygada żandarmeryi i przywrócono porządek.

Dowiedziawszy się o tym napadzie, margrabia z początku śmiał się tylko — obsypywał Pont-Aweńczyków dobrodziejstwami, ludzkim ogólnym zwyczajem, odpłacali złem za dobre; — ale gdy mu doniesiono o zasadzeniu na tarasie owego drzewa wolności, uniósł się gniewem.

— To już nadto! zawołał, i posłał ogrodnikowi rozkaz aby natychmiast drzewo wykopał, kazał porżnąć jak potrzeba do kominka i zapakowawszy przysłał mu do Paryża, na jego wyłącznie użytek. Posłał 500 fr. pijakowi, który ocalił arcydzieło sztuki, a Pont-Aweńczykom kazał oznajmić: iż dla ukarania ich za rewolucyjne wybryki, póki życia, nie postanie już Beaulieu.

Kwarantanna, jaką zagroził margrabia, narażała Pont-Avesnes co najmniej na 20,000 fr. straty rocznie; próbowano więc przejednać go za pośrednictwem mera, napisano prośbę opatrzoną licznemi podpisami mieszkańców i członków rady municypalnej — daremnie — margrabia nie dał się przebłagać, pałac pozostał niezamieszkany.

Co prawda, w postanowieniu jego większą odgrywał rolę urok paryzkiego życia, niż nieprzejednany gniew o owo drzewo z czerwonemi strzępkami. Klub, teatra, sport, galanterya zatrzymywały go w Paryżu; jednakże po kilku latach burzliwego życia, uczuł się niem znużony, i w chwili napadu zastanowienia i rozsądku, postanowił się ożenić.

Poślubił młodą księżniczkę de Bligny, posiadającą tkliwą duszę i spokojny umysł. Kochała szalenie margrabiego i zamykała oczy na jego słabostki. Należał on do tych powabnych hulaków, dla których rozkosze i uciechy stanowią istotę życia, których ręka i serce zawsze są otwarte; nie umiałby się oprzéć jakiejbądź zachciance żony, ale zdolny był przywieść ją do śmierci ze zmartwień na jakie ją skazywał nieustannie, poczem znów gorzko opłakiwałby jej stratę. Gdy dopuścił się wielkiego jakiego wybryku, i margrabina dowiedziawszy się upominała go łagodnie, po macierzyńsku, przepraszał ją ze łzami, całował po ręku, mówiąc: „Tyś święta!“ ale za parę dni zbroił cóś nowego.

Miodowy ich miesiąc trwał całe trzy lata—a była to cnota nie lada, ze strony takiego jak margrabia człowieka. Mieli dwoje dzieci, syna i córkę. Oktawiusz i Klara wzrastali pod okiem matki, całkiem oddanej ich wychowaniu. Syna wychowywała na poważnego i użytecznego człowieka, córkę na wzorową kobietę, mającą opromienić szczęściem życie tego którego pokocha i wybierze za dozgonnego towarzysza. Dziwną sprzecznością przyrody, syn był żywym obrazem matki, łagodny, tkliwy, wesoły, córka zaś odziedziczyła gwałtowny i namiętny charakter ojca. Wychowanie może złagodzić lub przygłuszyć wrodzone nasze usposobienie, ale zmienić go nie zdoła. Dorosłszy, Oktawiusz był miłym, sympatycznym młodzieńcem, jakiego zapowiadały młodociane jego lata; Klara, piękną, dumną i wyniosłą dziewicą, jak od lat jej dziecinnych przewidzieć można było.

Skutkiem nieszczęścia i żałoby, przybył im towarzysz zabaw i nauki. Brat margrabiny, książę de Bligny, owdowiał bardzo młodo; z małżeństwa pozostał mu synek, jedynak; skręcił on kark spadłszy z konia na polu wyścigowem, i ów potomek wielkich rycerzy, zmarł jak żokej, pozostawiając mały bardzo majątek. Zaraz po pogrzebie, małego Gastona przybranego w żałobę, odprowadzono do margrabiny, i pozostał u dobrej kochającej go ciotki.

Tam, uważany za trzecie dziecko, wychowywał się razem z Oktawiuszem i Klarą. Był starszy od nich obojga i odznaczał się już wrodzonem powabnem i wykwintnem obejściem. Ojciec wiodący hulaszcze życie, mało zajmował się synem, który jużto przebywał ze służbą wtajemniczającą go w swe brudne sprawki i intrygi, już znów był świadkiem nieprzyzwoitych pohulanek ojca, co niewinność i moralność dziecka na ciężką wystawiało próbę.

Gdy go przywieziono do pałacu Beaulieu, był chudy i mizerny, smutny i dość upadły pod względem moralnym; niedługo jednakże, wśród czystej orzeźwiającej atmosfery życia rodzinnego, odzyskał całą świeżość i powab lat młodocianych. Ukończył nauki mając lat dziewiętnaście; wtedy wszystko w nim zapowiadało nader powabnego młodzieńca i skończonego gentlemana. W owym to czasie, postrzegł po raz pierwszy że kuzynka Klara, młodsza od niego o cztery lata, nie jest już małą dziewczynką.

Jakoż rzeczywiście Klara przemieniła się nagle. Jak piękny motyl przeobrażający się z poczwarki, piękność jej rozwinęła się w całym blasku. Jasna blondynka z czarnemi, łagodnie błyszczącemi oczami, miała figurę jakby utoczoną, ruchy pańskie i zręczne. Gaston zakochał się w niej szalenie; jednakże miłość tę ukrywał przez dwa lata. Powodem wyznania stało się wielkie nieszczęście jakie dotknęło rodzinę Beaulieu.

Margrabia umarł nagle; zszedł ze świata nieznacznie, po angielsku. Nie chorował, tylko żyć przestał; znaleziono go martwym w jego gabinecie. Chciał przejrzeć akta procesu jaki prowadził, z krewnymi zamieszkałymi w Anglii—śmierć za skoczyła go przy tej pracy.

Doktorzy zadecydowali że margrabia umarł skutkiem anewryzmu, ale przyjaciele jego z klubu pokiwali głowami, mówiąc że niezrównany Beaulieu skończył jak Morny, strawiony i zużyty życiem jakie prowadził od lat dwudziestu pięciu. Inni znów twierdzili że powodem nagłej śmierci niepoprawnego marnotrawcy, było zawiadomienie jakie otrzymał od swego notaryusza, iż z wielkiego kapitału jaki posiadał niegdyś, nie pozostało mu już ani grosza. Stało się ono dla niego jakby kulą wymierzoną w samo serce.

Rodzina margrabiego opłakiwała go szczerze, nie rozpatrując powodów nagłej śmierci; był bowiem od niej kochany i szanowany, jakby najlepszy mąż i ojciec. Margrabina przywdziawszy grubą żałobę, kazała pochować uwielbianego męża z książęcym przepychem. Oktawiusz, obecnie margrabia de Beaulieu i brat jego wujeczny, Gaston książe de Bligny, przewodniczyli żałobnemu pochodowi, otoczeni najznakomitszą szlachtą; gdy wieczorem powrócili do pałacu, margrabina i Klara, zalane rzewnemi łzami, dziękowały im za spełnienie bolesnego obowiązku. Po niejakim czasie, margrabina przeszła z Oktawiuszem do swego gabinetu aby pomówić z nim o przyszłości, zaś Gaston z Klarą wyszli do ogrodu.

Mrok zapadał; był to piękny wieczór letni; powietrze nasycone było upajającą wonią kwiatów. Szli obok siebie powoli zatopieni w milczeniu, zajęci własnemi myślami. Po chwili zatrzymali się i usiedli na kamiennej ławeczce. Tuż obok nich szemrała woda w marmurowym basenie, a mono tonny szmer ten kołysał ich marzenia. Nagle Gaston przerwał milczenie i mówiąc prędko, jak ktoś zbyt długo ukrywający uczucia swoje, wypowiedział z głębokiem wzruszeniem żal swój i zmartwienie po stracie najlepszego opiekuna, który zastąpił mu miejsce ojca. Nie był w stanie zapanować nad miotającem nim wzruszeniem; obrzęd pogrzebowy rozrzewnił i rozdrażnił go niewymownie, to też pomimowolnie głośnem wybuchnął łkaniem.

Ująwszy rękę Klary, przycisnął ją do swego rozpalonego czoła i zawołał z uniesieniem:

— Nigdy, nigdy nie zapomnę co rodzice twoi uczynili dla mnie... co bądź spotka mnie w życiu, zawsze i wszędzie znajdziesz mnie obok siebie... ja cię tak kocham!...

I w pośrod łez powtarzał: Kocham cię!... kocham!... i twarz ukrył w dłonie, jakby wstydząc się swej słabości.

Klara podniosła zwolna zarumienioną twarz Gastona, i wlepiając w niego głębokie spojrzenie, rzekła łagodnie:

— I ja kocham ciebie, Gastonie.

— Klaro! mógł tylko zawołać z uniesieniem młody książę.

Ręką przycisnęła mu usta i jako uroczyste zobowiązanie, pocałowała go w czoło. Podnieśli się zwolna i trzymając się pod ręce w milczeniu przechadzali się po murawie. Nie mówiąc nic, słuchali głosu serc swoich.

W parę dni potem, Oktawiusz de Beaulieu zaczął uczęszczać na wydział prawny, a Gaston wszedł do ministerstwa spraw zagranicznych. Rząd republikański starał się wtedy zjednywać sobie ludzi noszących wielkie nazwiska arystokratyczne, aby uspokoić Europę obawiającą się zbytnej przewagi demokracyi. Młody książę pomieszczony został w przybocznem biurze ówczesnego ministra, księcia Decazes, i mógł obiecywać sobie świetną przyszłość w zawodzie dyplomatycznym.

Przyjmowany z upragnieniem w salonach wielkiego świata, wkrótce odznaczył się w nich ujmującem i wykwintnem obejściem, powabem ładnej twarzy i niezrównanym wdziękiem wysłowienia Wszystkie matki mające córki na wydaniu, ubiegały się o niego — daremnie — dla niego jedna tylko Klara istniała na świecie. Największy urok miały dla niego wieczory spędzane w małym saloniku ciotki, gdy siedząc naprzeciw Klary zajętej jakąś robótką, nie spuszczał z niej oka. Światło łamało się w jej lśniących złotawych włosach, których bujne sploty jakby aureolę tworzyły nad jej czołem. O dziesiątej żegnał margrabinę, ściskał rękę Klary i szedł tańczyć i bawić do rana w salonach wielkiego świata.

W lecie cała rodzina wyjeżdżała do Normandii, do ziemskiej posiadłości margrabiny, która wierna niechęci męża, ani razu nie była jeszcze w Beaulieu. Tu Gaston był zupełnie szczęśliwy; odbywał konne przejażdżki po lesie z Oktawiuszem i Klarą, upojony czystem orzeźwiającem powietrzem, podczas gdy margrabina szukała w archiwach familijnych nowych dokumentów odnoszących się do procesu toczącego się w Anglii.

Chodziło o znaczną bardzo sumę, przekazaną panu de Beaulieu testamentem. Anglicy zaprzeczali prawomocności legatu, a pełnomocnicy obu stron, raz pochwyciwszy sprawę, jak szczury które dostały się do sera, nie chcieli jej z rąk wypuścić, i obmyślając coraz nowe kruczki i zwłoki, bogacili się kosztem klientów. Margrabia rozpoczął proces, głównie wiedziony chęcią postawienia na swojem; pozostała wdowa prowadziła go dalej z potrzeby, gdyż szalone marnotrawstwo pochłonęło niemal zupełnie majątek pana de Beaulieu, i ów zapis w Anglii miał stanowić dla dzieci jedyny prawie po nim spadek. Wprawdzie margrabina posiadała dość znaczny osobisty majątek, ale dochód od niego zaledwie wystarczał na wspólne utrzymanie; tak więc choć nienawidziła wszelkich szykan i wybiegów prawnych, przez miłość dla dzieci postanowiła prowadzić dalej rozpoczęty proces, chcąc zapewnić im znaczny majątek. Szperała w papierach familijnych, prowadziła nieustanną korespondencyę z prawnikami, i wkrótce znała wybornie główne artykuły kodeksu.

Była najpewniejsza że proces zostenie wygrany; najbliżsi utwierdzali ją w tem mniemaniu, a w takim razie, Klara wniosłaby dwa miliony fr. posagu szczęśliwemu wybrańcowi któremuby oddała swą rękę. Kilku już pretendentów wysokiego rodu i bardzo bogatych, oświadczyli się o nią margrabinie, ale Klara odmówiła wszystkim. Zaniepokojona tem matka, zaczęła badać ją o powód, wtedy Klara wyznała szczerze iż kocha Gastona i przyrzekła mu zostać jego żoną.

Wiadomość o tych zaręczynach nie bardzo ucieszyła margrabinę. Najpiew w ogóle przeciwną była małżeństwom między krewnymi, a powtóre poznała dobrze charakter i usposobienie Gastona. Wiedziała że jest namiętny ale zarazem lekkomyślny i niestały, zdolny pokochać szalenie, ale niezdolny kochać stale; nie chciała jednak sprzeciwiać się wyborowi córki, tem więcej, że znając dziwną stanowczość jej charakteru, wiedziała iż nic nie zdołałoby skłonić jej do zmiany powziętego postanowienia. A potem, w gruncie duszy pochlebiał jej związek, mający wprowadzić do rodziny jej starożytne nazwisko rodowe, które zmieniła wychodząc za mąż; przyjęła więc oświadczenie Gastona, i odtąd uważała go za prawdziwego syna.

Jednocześnie młody książę został zamianowany sekretarzem ambasady w Petersburgu. Za wspólnem porozumieniem, postanowiono że ślub nastąpi jak tylko Gaston otrzyma pierwszy urlop; miało to miejsce po sześciu miesiącach. Młody dyplomata przybył do Paryża ale tylko na ośm dni; wysłano go z poufnem zleceniem, którego ambasador nie chciał powierzać cyfrowanej depeszy, mogącej różnym uledz wypadkom.

Niepodobna było nawet myśléć o zawarciu ślubu w tak krótkim przeciągu czasu — nawet zapowiedzi wyjśćby nie mogły. Gaston był czułym dla Klary, ale w czułości tej przebijał jakiś odcień płochości, rażącą stanowiący sprzeczność z ową głęboką czcią jaką ją dawniej otaczał.

Od chwili rozłączenia z narzeczoną, Gaston przebywał w najrozwiązlejszem pod słońcem społeczeństwie, wśród którego jego pojęcia o miłości nadzwyczajnej uległy zmianie. Jak uczucia serca tak i wyraz twarzy jego odmienił się bardzo. Rysy stały się wyrazistsze i ostrzejszego nabrały wyrazu. Na tak czystem dawniej czole, rozwiązłe życie odbiło swoje piętno — ale Klara czy nie dostrzegła czy nie chciała dojrzéć tej zmiany. Pokochała Gastona głębokiem uczuciem i ufała mu niezłomnie. Z początku pisywał on bardzo często, później coraz rzadziej. Zawsze jednak listy te pełne były namiętnych wyznań i przysiąg, skarżył się jak strasznie cierpi nad opóźnieniem ich ślubu, jednakże wcale nie wspominał o przyjeździe, choć dwa lata już upłynęło od czasu wyjazdu.

Zgodnie z życzeniem córki, pani de Beaulieu nie przyjmowała wcale przez dwie minione zimy; Klara chciała usunąć się od świata, aby nie być narażoną na zabiegi nowych konkurentów. Oktawiusz kończył kurs prawa, a margrabina coraz więcej zajmowała się owym nieszczęsnym procesem.

Z nadejściem wiosny, Klarze zachciało się pojechać do Beaulieu, zostającego pod interdyktem za życia ojca; nie umiejąca w niczem oprzéć się córce, margrabina zgodziła się na jej żądanie, licząc na to że w nieznanej jeszcze sobie miejscowości, Klara znajdzie rozrywkę której tak potrzebowała.

Pojechano więc do Beaulieu, i młody margrabia, który właśnie skończył kurs prawny, wybrał się na polowanie i nie wiedząc o tem zaszedł do lasu pana Darbley, w którym spotkany został z dubeltówką i wyżłem.

II.

Gdy młody margrabia powracał do pałacu ze swą ciężko wypakowaną torbą myśliwską, pani de Beaulieu i Klara siedząc w wielkim salonie, korzystały z pięknego październikowego wieczoru. Słońce wdzierało się do salonu przez wielkie otwarte balkonowe okna wychodzące na peron; promienie jego padały na poczerniałe nieco ramy portretów staro dawnych antenatów w paradnych strojach, spoglądających już to poważnie, już z uśmiechem.

Meble z czasów Ludwika XVI, rzeźbione i pomalowane na biało z zielonem wysadzaniem, pokryte były bogatą tkaniną przedstawiającą przemiany Owidiusza. Nizki, szeroki parawanik, obity aksamitem genewskim, osłaniał kozetkę, na której siedziała margrabina, pracująca z wielką uwagą nad małemi wełnianemi czapeczkami dla dzieci wiejskich.

Pani de Beaulieu miała teraz czterdzieści lat skończonych. Jej twarz poważną i łagodną ota-

czały prawie zupełnie siwe włosy, nadając jej nader pański i szlachetny wyraz. Wielkie czarne smętne oczy zdawały się jeszcze zwilżone łzami wylewanemi w skrytości. Bardzo szczupła i wątła, margrabina, miała zdrowie bardzo delikatne i musiała pielęgnować je troskliwie. Pomimo bardzo ciepłego dnia, kolana jej i małe nóżki, obute w lekkie atłasowe pantofelki, osłaniał wielki szal, aby uchronić je od mogącego zawiać wietrzyka.

Klara siedziała w wielkim fotelu z głową przechyloną na jego poręcz, ręce opuściła bezwładnie i wzrok utkwiwszy w niebo patrzyła nie widząc na prześliczny do koła roztaczający się horyzont. Od godziny już siedziała tak nieruchoma i milcząca, oblana promieniami słońca, od blasku których włosy błyszczały tworząc nad jej czołem dziewiczą aureolę.

Od kilku chwil margrabina spokojna przyglądała się córce; smutny uśmiech przemknął po jej ustach; chcąc zwrócić uwagę Klary, poruszyła koszykiem, w którym złożone były kłębki włóczki potrzebne do jej roboty, i lekko odkaślnęła. Ale młoda dziewczyna tak była zatopiona w swych myślach, iż wszystko to nie zwróciło jej uwagi. Widząc bezskuteczność tych usiłowań, margrabina odłożyła na bok robótkę, i unosząc się nieco na fotelu, zawołała z pewnym odcieniem wyrzutu:

— Klaro!... Klaro!...

Panna de Beaulieu przymknęła na chwilę oczy, jakby żegnając marzenia swoje, poczem lekko zwracając się ku matce, zapytała:

— Co mamo?

— O czem tak myślisz?

Klara milczała chwilę; na czole jej lekka zarysowała się zmarszczka, poczem zapanowawszy nad sóbą, odrzekła spokojnie:

— O niczem właściwie nie myślałam, tylko to ciepłe powietrze ubezwładniło mnie trochę... Dla czego zawołałaś na mnie, matko?

— Abyś rozmawiała ze mną zamiast siedzieć tak milcząca i zadumana.

Nastała chwila milczenia. Klara znów smutnie zwiesiła głowę. Margrabina pochyliła się ku niej, wtedy panna de Beaulieu zwróciła ku matce swą śliczną, głęboko zasmuconą twarzyczkę, i jakby myśląc głośno o czem dotąd rozmyślała w milczeniu, zapytała:

— Od jak dawna nie mieliśmy już listu z Petersburga?

Margrabina kiwnęła głową, co zdawało się mówić: wiem żeś o tem myślała — poczem odrzekła z wymuszonym spokojem:

— Od dwóch miesięcy blizko.

— Od dwóch miesięcy!... tak też liczyłam, odrzekła z boleśnem westchnieniem.

Tym razem margrabina zniecierpliwiła się; wstawszy prędko przeszła ku oknu naprzeciw córki, i biorąc jej rękę, rzekła:

— A! czemuż o tem tylko myślisz i dręczysz się nieustannie?

— A o czemże mam myśléć, jeźli nie o moim narzeczonym? odpowiedziała z goryczą. Jakże nie dręczyć się nie mogąc odgadnąć powodów tak długiego milczenia?

— Przyznaję że trudno wytłomaczyć je sobie. Po tygodniu pobytu u nas w roku przeszłym, siostrzeniec mój, książę de Bligny, odjechał przyrzekając przybyć do Paryża w zimie. Najpierw, doniósł nam że zawikłania polityczne nie dozwalają mu opuszczać ambasady, następnie napisał, że ponieważ zima minęła, więc przyjedzie w lecie — i lato nadeszło, a jego jak nie ma tak nie ma. Już i jesień się zbliża, a Gaston nie trudzi się obmyślaniem pozorów niedotrzymania przyrzeczeń ani nawet nie pisze. Przypuszczając nawet że jest to tylko trochę lenistwa — to i tak źle bardzo z jego strony. Tak, tak, kochana Klaro, wszystko teraz zmienia się i wyradza... ludzie naszej nawet sfery zapominają o prawach prostej grzeczności.

To mówiąc, margrabina podniosła swą siwą głowę, nadającą jej pewne podobieństwo do wielkich dam upudrowanych, uśmiechających się z portretów familijnych, porozwieszanych na ścianach.

— Ale może był chory i to nie dozwalało mu pisać do nas? odpowiedziała Klara, występując w obronie ukochanego.

— Tego przypuszczać niepodobna, odparła bez litości margrabina, bo w takim razie ambasada niezwłocznie zawiadomiłaby nas o tem. Możesz być pewna że jest jak najzdrowszy, rumiany i wesół, i że przez cały karnawał prowadził kotiliona w salonach petersburskich.

Nerwowe wstrząśnienie zmieniło śliczną twarz Klary, zbladła, jak gdyby w tej chwili wszystka krew jej odbiegła do serca! Po chwili rzekła smutnie.

— A tak uroczyście mi przyrzekł że zimę przepędzi w Paryżu!.. tak cieszyłam się że razem bywać będziem w salonach naszego świata!... Ja dumną byłabym jego powodzeniem, on dostrzegłby może iż i mnie ono sprzyja. Trzeba przyznać iż wcale a wcale nie jest zazdrośnym — choć mógłby mieć do tego powody. Gdzie tylko byłam z tobą, kochana matko, otaczano mnie i na wyścigi składano hołdy... Tu nawet, w tak osamotnionem Beaulieu, nie zbrakło mi wielbicieli — tak dalece iż nawet ów sąsiad nasz, właściel huty żelaznej, pozwolił sobie stanąć w ich rzędzie...

— Pan Derblay?

— Tak, matko, pan Derblay. W niedzielę podczas mszy, siedziałam obok ciebie modląc się; nie mogłam jednak pojąć co mnie drażni, co za siła potężniejsza od woli mojej, odrywa uwagę moją od nabożeństwa. Mimowolnie odwróciłam głowę i spojrzawszy w głąb kaplicy, spostrzegłam pana Derblay. Stał pochylony...

— Modlił się.

— Ale nie— wpatrywał się we mnie. Spotkały się nasze oczy i w jego wyczytałam nieme uwielbienie. Pochyliłam głowę i już ani spojrzałam w tamtą stronę. Wchodząc zobaczyłam go przy drzwiach; nie śmiał jednak podać mi święconej wody. Skłonił się z uszanowaniem, przeszłyśmy, ale czułam że ścigał mnie spojrzeniem. Podobno dziś pierwszy raz w tym roku tak długo był w kościele.

Margrabina wstała i przeszła znów na kozetkę, na której ułożyła się wygodnie.

— Niech to jegomości temu dopomoże do zbawienia duszy. Lepiejby jednak zrobił gdyby zamiast przewracać do ciebie oczy, wynagrodził nam szkody uczynione przez przywłaszczenie sobie naszych nadgranicznych gruntów. Pocieszny sobie ze swem niemem uwielbieniem... I doprawdy czy już nie miałaś nic lepszego do roboty, aby zwracać uwagę na westchnienia tego kowala, który lada dzień ogłuszy nas swemi młotami.

— Hołdy składane mi przez pana Derblay są tak korne i pełne uszanowania, iż obrażać mnie nie mogą—i dla tego tylko wspomniałam o właścicielu huty żelaznej, że powiększył szereg moich wielbicieli. Zresztą, wszak powszechnie utrzymują że serca kobiet są zmienne... a książę nie przybywa strzedz swego dobra... Nareszcie powinienby pomyśléć że sprzykrzyć mi się może rola Penelopy, oczekującej wiecznie powrotu nieobecnego... ale ani mu to przyjdzie do głowy... a ja czekam, samotna, cierpliwa i wierna...

— I bardzo źle robisz! zawołała żywo margrabina; gdybym była na twojem miejscu...

— Nie, matko, przerwała panna de Beaulieu głosem poważnym, nie robię źle i nie mam żadnej zasługi tak postępując, ponieważ kocham księcia de Bligny.

— Kochasz, odrzekła z rozdrażnieniem margrabina; przesadzasz we wszystkiem! Jak można dziecinne przywiązanie uważać za głęboką miłość, a węzły pokrewieństwa za nierozerwalny łańcuch? Wychowaliście się i wzrośli razem, z tego uroiłaś sobie że i na życie całe macie pozostać nierozłączeni, i że bez Gastona nie ma dla ciebie szczęścia na świecie... Mrzonki to niedorzeczne moje dziecię.

— Matko! zawoła Klara.

Ale margrabina była podnieconą i nie chciała stracić sposobności zrucenia z serca przygniatającego je ciężaru.

— Łudzisz się, Klaro, co do księcia, uważając go za jakiś ideał któremu on w niczem nie odpowiada. Jest płochy i lekkomyślny; sama wiesz o tem iż zawsze był samowolnym i że z tej wady nigdy się nie poprawi. Przewiduję że w przyszłości czeka cię straszne rozczarowanie... a jeźli mam wyznać całą prawdę, sama myśl o tem że masz zostać jego żoną, strasznym przejmuje mnie niepokojem.

Klara zerwała się z krzesła, mocny rumieniec na twarz jej wystąpił. Przez chwilę matka i córka patrzyły na siebie w milczeniu. Zdawało się że pierwsze zamienione słowa będą wyjątkowo ważne. Nareszcie panna de Beaulieu pierwsza odezwała się drżącym głosem.

— Matko moja, po raz pierwszy mówisz tak do mnie—z tego wnoszę że chcesz przygotować mnie do jakiejś złej wiadomości. Czyżby nieobecność księcia miała powody których wyjawić mi nie chcesz? Czy dowiedziałaś się...

Głosu jej zbrakło. Margrabinę przeraziło niewymownie gwałtowne wzruszenie córki; teraz lepiej niż kiedykolwiek przekonała się jak głęboką i stałą była miłość Klary dla Gastona. To też widząc że posunęła się za daleko, zaczęła się wycofywać.

— Nie, dziecko moje, mówiła, nic nie wiem, nic mi nie powiedziano... tylko dziwi mnie niewymownie tak długie milczenie... Doprawdy Gaston za daleko posuwa dyplomacyę.

Klara się uspokoiła; ostre słowa matki przypisała niezadowolnieniu wywołanemu zbyt długiem milczeniem, którego i sama nie mogła usprawiedliwiać. Przybierając wesołą minę rzekła:

— Trochę jeszcze cierpliwości, mateczko... Pewna jestem że Gaston myśli i pamięta o nas, i lada dzień zrobi nam miłą niespodziankę swojem przybyciem.

— Daj Boże, skoro tego pragniesz... W każdym razie, przyjeżdża dziś z Paryża siostrzeniec mój, baron de Préfont z żoną, może więc mają jaką wiadomość o księciu de Bligny.

— A! oto Oktawiusz wszedł na taras z panem Bachelin... zawołała żywo panna de Beaulie, chcąc przerwać przykrą dla siebie rozmowę.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 38.

N. 1. Suknia z materyału gładkiego i w paski.

Ryc. 1 przedstawia ładne połączenie satynki gładkiej i w paski; spódnica cała plisowana jest bez garnirunku. Tunika fartuszkowa w górze na baskinę zachodząca, u dołu z jednej strony odwracanym szwem przyszyta i krótko sfałdowana, z drugiej dłużej spuszczona, z tyłu jest na haftki zapięta. Draperyę tylną układa się z dwóch brytów prostych, z których jeden podszywa się satynką w paski, układa z brzegów w fałdy i spuszcza do dołu, sposobem wskazanym na ryc. 1, drugi za pomocą tasiemek przyszytych od spodu, układa się w długą bufę. Kołnierz i mankiety z satynki w paski; kapelusz okrągły z dużem rondem ze słomki bronzowej, ubrany wstążką złoto orzechową i takiemiż piórami.

N. 2 i ryc. 11—12 w N-rze 39. Suknia z kaszmiru i satynki.

Moda która dotąd satynek i t. p. materyałów letnich nie łączyła nigdy z wyrobami wełnianemi, obecnie pozwala mieszać kaszmir z satynką lub kretonem, używając pierwszego na stanik i draperyę, a drugich na spódnicę i garnirunek, do którego dodane są koronki. Ryc. 2 i ryc. 11 w N-rze 39, przedstawia z przodu i z tyłu suknię odrobioną z czarnego kaszmiru i satynki w duże kolorowe kwiaty, na tle czarnem, ozdobioną koronką Chantylly i kokardami z 6 cent. szerokiej, ciemno ponsowej, atłasowej wstążki. Spódnica zakończona wązkiem, czarnem plisowaniem ogarnirowana jest wolantem deseniowym, 69 cent. szerokim, oszytym koronką 15 cent. szeroką, ozdobionym wstążką ponsową, w odstępie 29 c. od dołu przewleczoną przez otwory przecięte w wolancie. Mały model i miary draperyi, dajemy na ryc. 12 w N. 39, litera *a* oznacza połowę przodu, któren kraje się w ten sposób, ażeby kaszmir szedł skośnie w brzegu górnym; brzegi boczne trzeba sfałdować do 14 cent. długości. Draperyę tylną układa się z dwóch prostych brytów oznaczonych literą *b*. Do pleców dodane upięcie z czterech oddzielnych trójkątów, których brzegi górne, skośne, są sfałdowane, a brzegi boczne proste oszyte koronką; dwa dolne trójkąty mają po 25 cent. długości, a dwa górne po 15. Stanik i draperya oszyte są koronką 11 cent. szeroką; w chusteczkę zrobioną z koronki fałdowanej, wstawione są z tyłu i z przodu, trójkąty z deseniowej satynki. Rękawy ogarnirowane szerszą koronką.

N. 3. Ubranie dziecinne z paletocikowem vêtement.

Vêtement luźną formą paletocikową, odrobione z aksamitu ciemno ponsowego, przeznaczone było do białej, wyciętej sukienki. Plecy luźno wcinane mogą być gładkie, albo poniżej wcięcia w pasie, mieć dodaną podwójną kontrafałdę. Brzeg dolny vêtement zakończony przecinanemi patkami, podszytemi materyą. U dołu i przez otwory patek wygląda suty garnirunek snkienki, któren stanowi koronka albo falbanki haftowane. Duży pelerynkowy kołnierz i mankiety na rękaw wyłożone, mogą być całe z haftu lub koronki, albo z materyi, koronką lub haftem oszyte.

N. 4—8. Koronka gipiurowa, robiona szydełkiem.

Ryc. 4 przedstawia grubą koronkę, mogącą służyć do rolet, kołder lub serwet; cienka odrobiona z białej kordonkowej bawełny z nici koloru ficelle, lub jedwabiu czarnego albo kolorowego użyta być może do ozdoby sukien, płaszczyków lub bielizny. Figury deseniu odrabia się oddzielnie, spaja szydełkiem, a tło zapełnia ażurowo, ściegiem łańcuszkowym i słupkami. Deseń koronki stanowią trzy odmienne duże i dwie górne małe figury, powtarzające się w dalszym ciągu; osoby wprawne w roboty szydełkowe, mogą układać i mieszać nowe figury, a koronka będzie jeszcze piękniejsza. W naszym modelu wszystkie figury zaczynają się od środka, a pod obrabianie oczkami ścisłemi, podkłada się zawsze trzy nitki. Gdzie zaczęcia nitek nie można w środek odrobienia schować albo do dalszej roboty przeprowadzić, tam trzeba je starannie przyszyć a następnie krótko uciąć. W małych dwulistkowych figurach, potrójne nitki przeciąga się między słupkami. Na ryc. 8 dajemy próbkę innej figury służyć mogącej do zmiany. Wykończone figury deseniu fastryguje się na kawałku odpowiednio szerokiej ceratki lub sztywnego papieru, lewą stroną do wierzchu; brzeg górny stanowi oddzielnie robiony łańcuszek obrobiony raz oczkami ścisłemi. Tło zapełnić sposobem wskazanym na ryc. 4, ząbkami łańcuszkowemi i słupkami przyczepianemi do figur.

N. 10—12. Pantofel ponsowy safianowy lub atłasowy, haftowany złotem.

N. 14. Suknia z draperyą w pukle złożoną.

Na spódnicy w podwójne kontrafałdy układanej, draperyę z przodu stanowi suto fałdowane panier, w ząb naszyte na baskinie, z tyłu bryt prosty kolorowym fularem podszyty, upięty jest w dwa długie pukle w górze węzłem przepięte, z których zwierzchni jest krótszy. Model odrobiony był z gładkiego wełnianego materyału, koloru ciemno heljotropowego i z takiegoż materyału w kratę jedwabną oranżową. Kołnierz i mankiety potrójne.



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z materyału gładkiego i w paski.

N. 2. Suknia z kaszmiru i materyi. Patrz ryc. 11 i 12 w N. 39.

N. 3. Ubranie dla małego dziecka.

N. 15. Suknia ozdobiona haftem.

Suknia z szarego batystu z szerokiemi haftowanemi falbanami, ozdobiona kokardami ze wstążki atłasowej 3—4 cent. szerokiej, koloru niebieskiego i bronzowego. Garnirunek spódnicy stanowi dwa razy naszyte plisowanie 10 cent., bufa spuszczona 28 i falbana haftowana 30 cent. szeroka. Draperyę z przodu układa się z bryta 106 cent. szerokiego a 118 długiego, z boków do 4 c. szerokości kilka razy przemarszczonego i ściągniętego do 27 cent. długości. Z tyłu draperya z bryta 112 cent. szerokiego. Stanik bawetowy z tyłu sznurowany.

N. 16—17. Fartuszek haftowany.

Fartuszek biały batystowy, ozdobiony haftem atłaskowym, składał się z dwóch, jedna na drugą zachodzących części 44 cent. szerokich a 46 i 72 cent. długich, w górze razem do 25 cent. szerokości zmarszczonych i wszytych w pasek 2 cent. szeroki, z boku na kolorową wstążkę związany. Podobny fartuszek można także zrobić z płótna białego lub szarego, ozdobionego haftem płaskim w dwóch kolorach, do którego jedną figurę dajemy na ryc. 17.

N. 18—21. Dwie małe serwetki „Doilies“ ozdobione pospiesznym haftem.

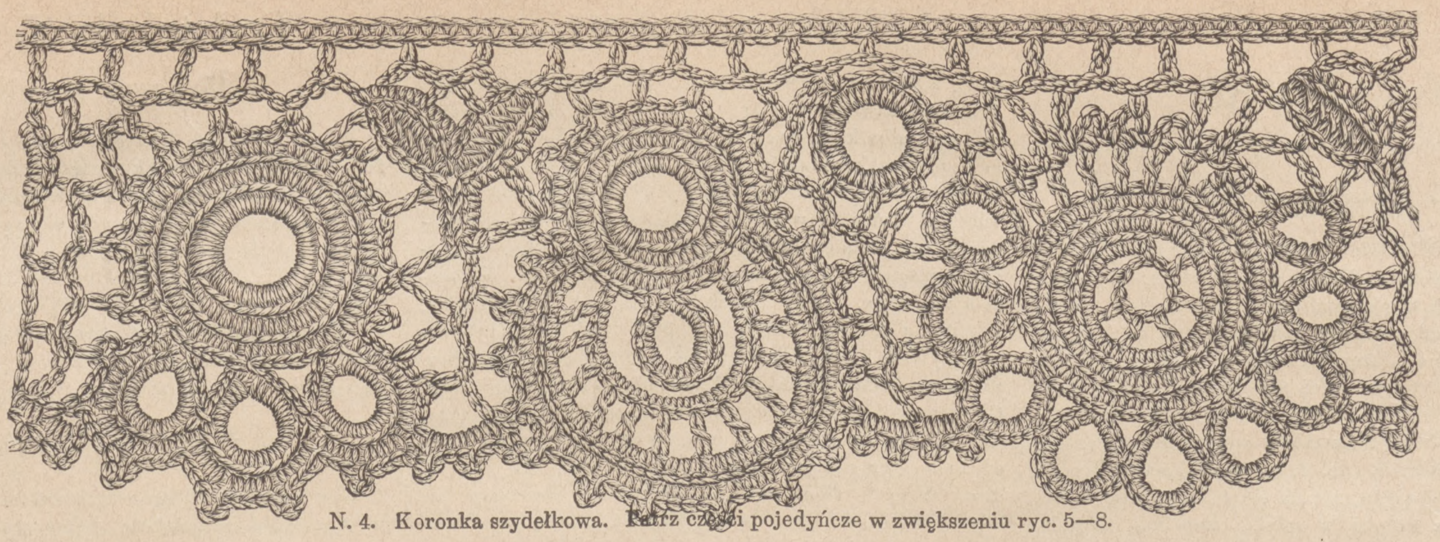
Bardzo modne serwetki „doilies“ do kawy, owoców lub herbaty, wyrabiane są obecnie sposobem adamaszkowym, z cienkiego, żółtawego materyału, i ozdobiane haftem w guście japońskim, robionym jedwabiem kolorowym dobrym do prania, ściegiem sznureczkowym. Takie serwetki wraz z frendzlą 2 cent. szeroką, trzymają 18 cent. w kwadrat. Do serwetek gładkich płociennych, dajemy na ryc. 18 i 19 dwa szlaki z narożnikami, które wyszywa się ściegiem pojedyńczym jednakowym na dwie strony.

N. 22 i 40. Ubranie z vêtement dla niedorosłej panienki.

Ryc. 22 przedstawia z przodu ubranie dla panienki lat 10—14, odrobione z materyału wełnianego, gładkiego i w kratę, a na ryc. 40 dajemy z tyłu takąż suknię, odrobioną z voile religieuse szafirowego gładkiego i w muszki drobne, ponsowe jedwabne. Do ubrania spacerowego dodaje się małą pelerynkę. Vêtement na guziczki w górze zapinane, od dołu jest z boków fartuszkowo podpięte. Bryt tylny oszyty plisowaniem, podpina się w pukle tasiemką umocowane od spodu. Przednie brzegi pelerynki zaszywa się w parę fałdek i spina kokardami ze wstążki. Spódnica oszyta dwoma szerokiemi, plisowanemi falbanami.

N. 23. Ubranie z bluzą dla niedorosłej panienki.

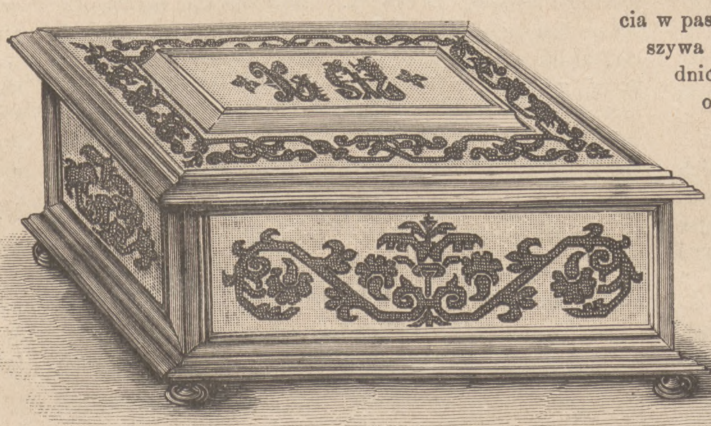
Sukienka zrobiona była z kretonu w drobną, niebieską kratkę na tle białem. W kontrafałdy układane falbany przy spódnicy, fryzce i rękawach, naszyte były w odstępach między fałdami, paski 2 cent. szerokie, z gładkiego szafirowego materyału. Na spódnicy upięta z przodu draperya fartuszkowa, z tyłu dwie bufy z prostego bryta. Bluzkę szeroką marszczy się przy wykroju szyi i w brzegu dolnym, któren pod pasek spódnicy podchodzi; przody zapina się na kryte haftki. W kontrafałdy układaną, długą baskinę, wszywa się razem ze spódnicą w pasek.



N. 4. Koronka szydełkowa. Patrz części pojedyńcze w zwiększeniu ryc. 5—8.

N. 24—25 i r. 32—33 w N. 39. Przykrycie na krzesło, ozdobione haftem jednakowym na dwie strony.

Oryginalne przykrycie na krzesło, w środku sznurem z metalowem okuciem przewiązane, robione było na lnianym, żółtawym krepowanym materyale; brzegi poprzeczne zdobił haft robiony jedwabiami kolorowemi i nitką złotą, ściegiem jednakowym na dwie strony. Deseń dajemy na ryc. 33 w N-rze 39, a próbki ściegu na ryc. 25 i 32. Ponieważ do haftu trzeba liczyć nitki, tło więc dobierać trzeba rzadkie jak np. cienkie płótno kanwowe, kanwa kongresowa i t. p. Na modelu proste linijki deseniu wyszyte były ściegiem płaskim skośnym, nitką złotą, zarówno jak i kwadraciki płasko zahaftowane przy gałązkach deseniu; ząbki i gałązki ściegiem pojedynczym na dwie strony, jedwabiem jasno szafirowym i filozelą ponsową. Brzegi dolne oszyte są wązką, złotą koronką.



N. 9. Szkatułka na biżuterye lub do robót.



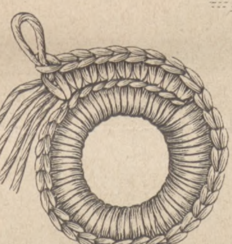
N. 13. Spódnica do sukni ryc. 40 w N-rze 39.

N. 26—31. Przykrycie na krzesło. Kratki ażurowe robione na wyciągniętych nitkach.

Model robiony był na cienkiem białem płótnie, nićmi białemi bawełną kolorową i nitką złotą; próbkę pięknych, szerokich, ażurowych kratek oraz wyszycia i frendzli siepanej, dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 26, próbkę powiększoną wiązania nagłówka do frendzli na ryc. 27 i 28, a próbkę wiązania czyli obrabiania kratek na ryc. 30 i 31.



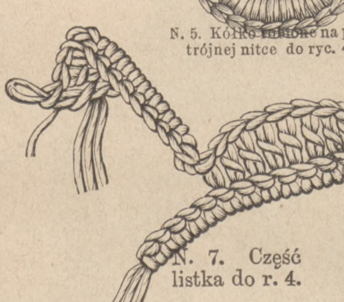
N. 10. Pantofel haftowany złotem.



N. 5. Kółko [illegible] na potrójnej nitce do ryc. 4.



N. 6. Środek gwiazdki do ryc. 4.



N. 7. Część listka do r. 4.



N. 8. Część łącząca gwiazdki w koronce ryc. 4.

N. 36—37. Sukienki dla małych dziewczynek.

N. 36. Sukienka z draperyą.

Przykrojona podług luźnej formy princesse, zrobiona była z wełnianego ciemno szafirowego materyału, w kropki ponsowe, a zapięta z przodu na dwa rzędy małych, ponsowych kuleczkowych guzików. Krótka, do brzegu sukienki przyszyta, plisowana spódniczka, szarfa nakształt panier upięta, kołnierz wykładany i mankiety, były



N. 14. Suknia z draperyą podpiętą z tyłu w pukle.

N. 15. Suknia zdobna szerokim haftem.

z ciemno ponsowego fularu. Pończochy szafirowe, trzewiki ponsowe safianowe.

N. 37. Sukienka bluzkowa.

Karczek trochę zaokrąglony, układa się w drobne fałdy, na gładkiej podszewce, prosto dość szeroko przykrojoną bluzkę, marszczy się do wszycia w pasek, przemarszcza kilka razy na wcięciu w stanie i podszywa marszczki paskiem podszewki. Krótką plisowaną spódniczkę, przyszyć od spodu. Do oszycia służy koronka szydełkowa, albo haftowana falbanka. Jedna kokarda ze wstążki przyczepiona na ramieniu, druga z tyłu, poniżej zapięcia bluzki na guziczki.



N. 16. Fartuszek ozdobiony haftem. Deseń patrz ryc. 17.

N. 39. Sukienka z plisowaną baskiną, dla panienki lat 10—12.

Model odrobiony był z materyału wełnianego w paski szafirowe i vieil-or, i z gładkiego mienionego szafirowo z viel-or. Kokardy ze wstążki szafirowej atłasowej. Do stanika bawetowego zapinanego na dwa rzędy guzików, dodana plisowana baskina; spódnica w koło plisowana, wązka, bez garnirunku. Spódniczkowa tunika jest z jednego boku sfałdowana i kokardą spięta, z drugiego ranwersowo do tyłu odwinięta, z tyłu draperya z bryta prostego. Pelerynka skrzyżowana na piersiach jest przy zwierzchnim brzegu sfałdowana i kokardą na ramieniu przypięta.

N. 40 i ryc. 10 w N-rze 39. Suknia z draperyą fartuszkową.

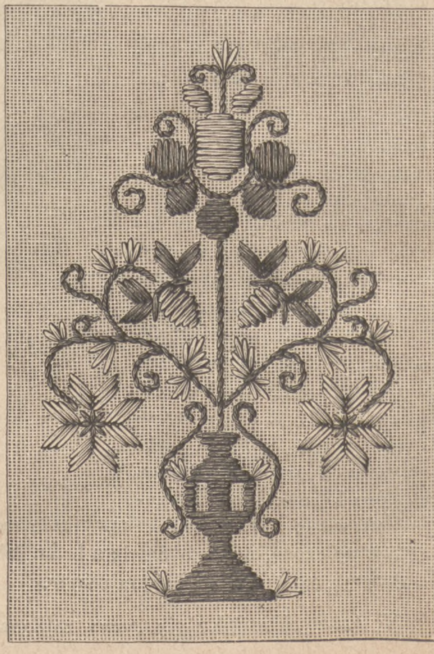
Ryc. 40 i 10 przedstawia z tyłu i z przodu, suknię z czarnego adamaszku w duży deseń, ubraną koronką marszczoną, aksamitem, wstążką aksamitną 8 cent. szeroką i guziczkami złotemi. Świeże i niezwykłe jest przybranie przodu spódnicy, ułożonego w cztery potrójne, 14 cent. szerokie kontrafałdy, przepięte aksamitną kokardą a u dołu luźno puszczone; równie szerokie odstępy pomiędzy fałdami, zagarnirowane są



N. 11. Haft złotem do ryc. 10. Patrz r. 12.



N. 12. Haft złotem do ryc. 10.



N. 17. Deseń wyszycia na fartuszku r. 16.

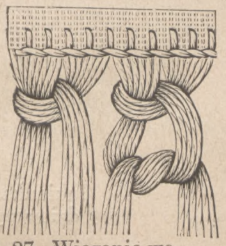


N. 18. Narożnik do serwetki r. 20—21.

kor.nką, w sposób w.kazany na ryc. 10. U dołu spódnica oszyta w koło wązką plisowaną falbanką, a bryty tylne suto garnirowane koronką. Zwykłą, krótko sfałdowaną draperyę z przodu dopełnia zręcznie upięty bryt tylny. Stanik na dwa rzędy guzików zapinany, ma baskinę z boków kolisto podpiętą, z tyłu garnirunkiem z koronki i kokardami ozdobioną. Kołnierz i mankiety aksamitne.

N. 41. Suknia z draperyą plisowaną.

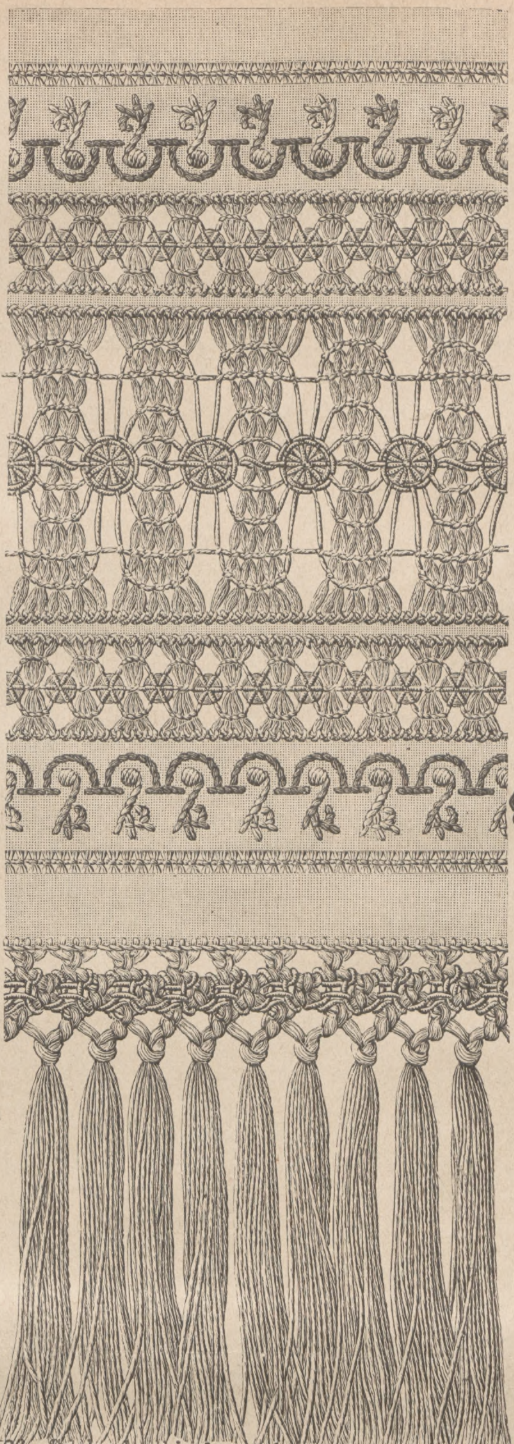
Model odrobiony był z grenadyny czarnej jedwabnej i atlasu; spódnicę w koło plisowaną, układa się na wązko ukrojonej podszewce z materyi lub satynki. Drobno plisowana i gładko spuszczona draperya, z przodu zachodzi skośnie jedną połową na drugą; tylny prosty bryt jest bufiasto upięty i przepięty plisowaną kokardą. Stanik bawełnowy z tyłu sznurowany, zrobiony był z atłasu; rękawki krótkie koronkowe. Koronkowa chusteczka ma spodni koniec krótki, zwierzchni długi, skośnie zkrzyżowany i z boku przypięty kokardą z długiemi końcami.



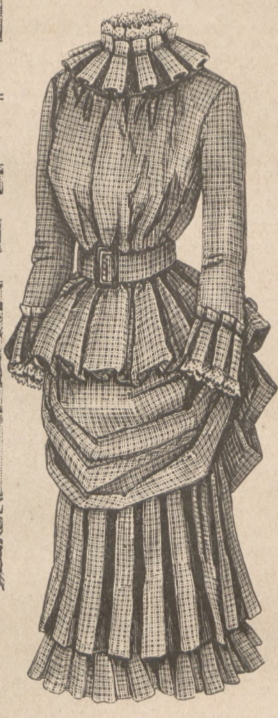
N. 27. Wiązanie węzłów dzierganych do ryc. 26.



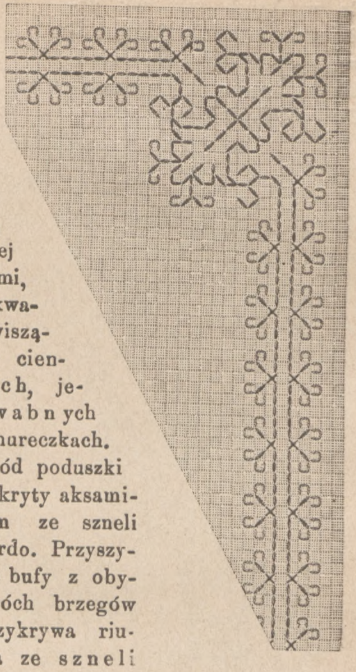
N. 22. Sukienka z vêtement dlą panienki. Patrz ryc. 38.



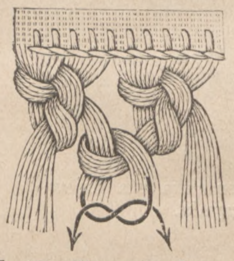
N. 26. Szlak z kratki ażurowej oszyty frendzlą do przykrycia na poręcz. Patrz ryc. 27—31.



N. 23. Suknia z bluzką dla młodej panienki.



N. 19. Narożnik do serwetki r. 20—21.



N. 28. Wiązanie drugiego rzędu węzłem do frendzli ryc. 26.



N. 24. Przykrycie na poręcz fotela. Patrz ryc. 25 i ryc. 31—32 w N-rze 39.

Opis do N. 39.

N. 3—5. Poduszka do kanapy, haft tamburkowy (imitacya burgundzkiej brokateli).

Robota poduszki dobrze naśladuje dawne, bardzo kosztowne i sławne burgundzkie brokatele. Haft robi się na złotej brokateli ściegiem łańcuszkowym, cienką szneią koloru bordo, a tło w niektórych częściach figur, zapełnia się ściegiem pentelkowym, robionym na grubym drucie cienkim sznureczkiem złotym. Całego deseniu nie możemy podać dla braku miejsca, ale ryc. 5 przedstawia jedną palmę w naturalnej wielkości, a na ryc. 4 dajemy powiększoną próbkę ściegu pentelkowego. Dość wysoko wysłana poduszka, miała na modelu 58 cent. w kwadrat, boki zdobiła bufa 18 cent. szeroka z atłasu vieil-or, przepięta dwa razy z każdej strony sznelowemi rozetkami, rogi zdobiły pęki małych kwaścików z jedwabiu bordo, wiszących, na 3 i 5 cent. długich, cienkich, jedwabnych sznureczkach. Spód poduszki pokryty aksamitem ze szneli bordo. Przyszycie bufy z obydwóch brzegów przykrywa riusza ze szneli bordo, na palec szeroka.



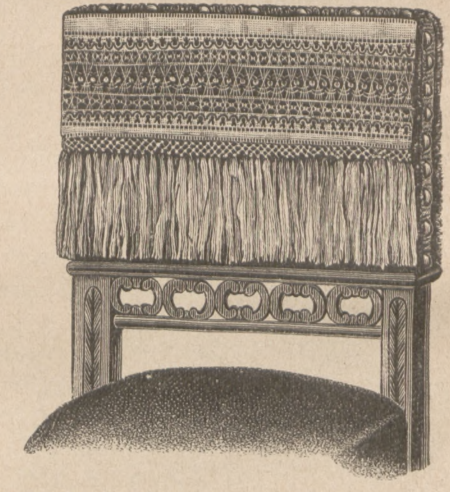
N. 20—21. Serwetki „Doillies“.

N. 6. Kołnierz chusteczkowy z koronki.

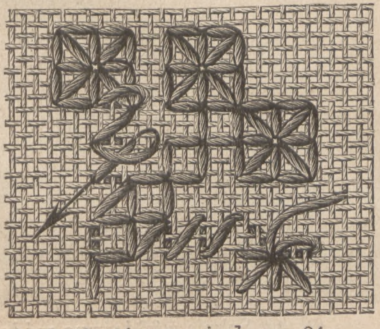
Fason kołnierza mający 7 c. środkowej szerokości, 48 górnego, a 58 cent. dolnego obwodu, przykrawa się z tiulu, ścinając brzegi przednie spiczasto. Koronkę 11 cent. szeroką (której trzeba na kołnierz 3 metry 25 cent.), naszywa się z tyłu na 15 cent. szerokości, drobno splisowaną i wachlarzowo spadającą, dalej przyszywa się do podszewki tiulowej gładko, wypuszczając z brzegów przednich po 5 cent. dłużej. Drugą koronkę przemarszczoną, przyszywa się do górnego brzegu a trzecią w górę gładko przyszytą wykłada się jak kołnierz na poprzednią. Z boku przypięta kokarda z kolorowej, 6 cent. szerokiej morowej wstążki.

N. 7. Kołnierz z muślinu i koronki.

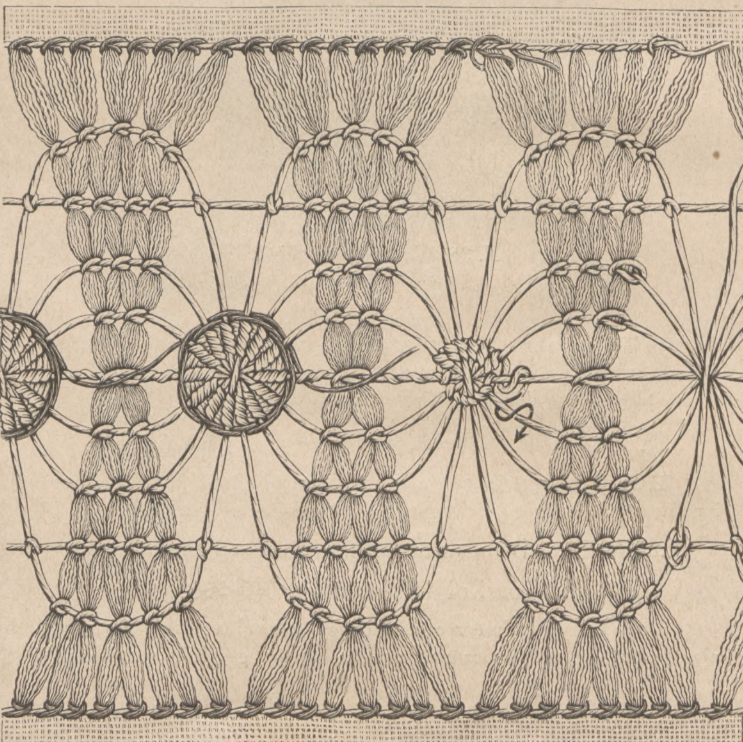
Do podwójnego paska muślinowego, 2 i pół cent. szerokiego a 37 długiego, przyszywa się równo szeroki, kilka razy przemarszczany kawałek muślinu, u dołu ogarnirowany plisowaniem 6 cent. szerokiem, pokrytem marszczoną, prawie równo szeroką koronką. Górny brzeg paska oszyć koronką wywiniętą na 3 c. szeroką kolorową wstążkę, z przodu na długie pukle i końce związaną.



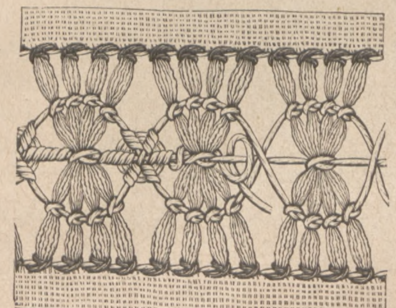
N. 29. Przykrycie na poręcz od krzesła. Patrz ryc. 26—31.



N. 25. Część wyszycia do ryc. 34.



N. 30. Wiązanie środkowego pasa kratki ażurowej do r. 26. Patrz r. 31.

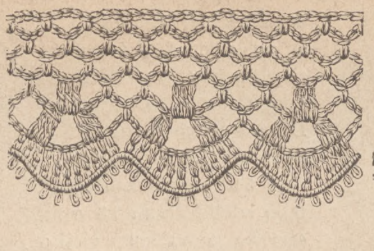


N. 31. Wiązanie wązkiego paska kratek do ryc. 26.

N. 8. Paltocik dla dzieci lat 2—4.

Do wyjścia na spacer,

do wyciętych sukienek dodaje się paltocik kaszmirowy adamaszkowy, lub z gładkiej materyi, z podszewką jedwabną. Luźno wcinany mo-



N. 32. Ząbki szydełkowe.

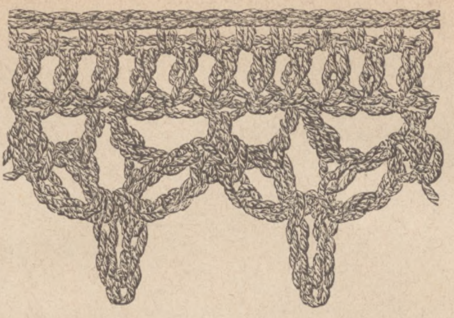
del odrobiony był z adamaszku blado lila. Do części plecków poniżej baskiny, dodaje się w krajaniu, na podwójną kontrafałdę. Przody zapina się na małe kulkowe guziki. Pelerynka marszczona z nagłówkiem, podgarnirowana jest w górze węższą, a u dołu oszyta gładko, 6 cent. szeroką koronką żółtawą, którą naszywa się także na kieszonkach i mankietach. Z tyłu nad fałdami można dodać kokardę.



N. 36. Sukieneczka dla dziewczynki.

N. 9. Sukienka dla dziecka lat 2—4.

Do sukienki z beżu orzechowego w drobną kratkę, dodana szeroka szalowa szarfa z beżu bronzowego, gładkiego z przodu, luźno przyfał-



N. 34. Połowa pasu robotą szydełkową do ryc. 35.

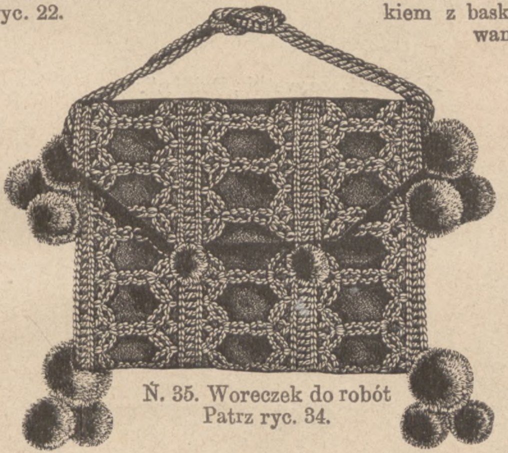
dowana, z tyłu ku bokowi, na dużą kokardę związana. Do pleców poniżej baskiny dodaje się materyału na kontrafałdę;



N. 38—39. Ubrania dla panienek lat 10—12.

N. 38. Sukienka z vetement. Patrz ryc. 22.

N. 39. Sukienka ze stanikiem z baskiną fałdowaną.



N. 35. Woreczek do robót Patrz ryc. 34.

do przodów na ranwers wywiniętych, dodaje się szeroki plastron. Brzeg sukienki i ranwersy przestębnowane bronzowym jedwabiem, te ostatnie zdobią duże, metalowe oksydowane haftki.

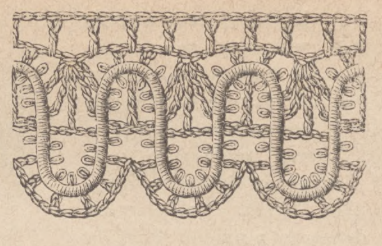
N. 14 Szlak do rolet, serwet, ręczników lub firanek.

Haft na płótnie jedwabiami kolorowemi dobremi do prania i nitką złotą, ściegiem dzierganym łańcuszkowym i płaskim.

N. 15—16. Dwa duże kołnierze dla małych panienek.

N. 15. Kołnierz ozdobiony haftem.

Duży kolisty kołnierz odrobiony był z batystu; część górną w 4 płaskie bufki przemarszczoną, układa się na gładkiej batystowej,



N. 33. Ząbki szydełkowe.

podług kolistej formy przykrojonej podszewce, mającej 5 cent. szerokości, 24 cent. górnego a 44 dolnego obwodu. Za tem daje się wstawkę haftowaną 2 cent. szeroką, w rogach skośnie ściętą i zastębnowaną, u dołu oszytą haftowaną, 7 cent. szeroką falbanką, do dołu przymarszczoną, a do przednich brzegów zwężoną stopniowo do 4 i pół cent. i gładko przyszytą. Bórta w supełki tkana, pół cent. szeroka, przykrywa zeszycia; gorny wykrój oszyty wązką listewką.



N. 37. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki.

N. 16. Kołnierzyk oszyty koronką.

Robi się z prostego kawałka batystu, 15 cent. szerokiego, a 75 długiego, na 7 cent. szerokości gęsto przemarszczonego i do 25 c. ściągniętego. Batyst oszyty jest w koło 6 c. szeroką koronką, w rogach dolnych skośnie zaszytą. Górny wykrój wszyty w pasek prosty 2 c. szeroki, z wierzchu wstążką 3 c. szeroką opasany, na którą wywija się od spodu, prawie gładko przyszytą koronkę. *(D. n.)*



N. 40. Suknia z fartuszkową tuniką. Patrz ryc. 10 w N-rze 39.



N. 41. Suknia z fałdowaną spódnicą.